

CZARNA PEREŁKA.

Powieść

przez B. Bolesławitę.

(CIĄG DALSZY.)

W kilka dni potem Kasia chwaliła się prześliczną chustką, która zdaniem wszystkich znawców, zgromadzonych w kuchence państwa Melchiorostwa, mogła być warta jakie sto złotych może, kto wie? nawet więcej. Pochodziła ona z narzuconego jej gwałtem daru panny Lenory, z czem się nie taiła. Wchodziła teraz do jej pokoiku i wychodziła swobodnie, kręciła się, była dumną i szczęśliwą, ale co do szczegółów tyczących się panienki nader oszczędną. Nic z niej wydobyć nie było można, oprócz że Lenora chorą była nieco, i że osoba ta niezmiernej dobroci i grzeczności całe serce Kasi chwyciła...

— A już to panna! to panna! — mówiła ona — to zaraz znać, że to nie lada jakie, ale pewnie dobrego domu dziecko... takie delikatne i ludzkie... Żeby to się poskarzyło... żeby zażądało czego, jeszcze się jej narzucać trzeba, a chciałaby tylko dawać a dawać, żeby człeku najmniejszą pracę wynagrodzić.

Jednego dnia Kasia stała we drzwiach, gdy nieznajomy mężczyzna zbliżył się zaglądając do nich... Młody był i piękny, ale wyraz jego twarzy nie podobał się Kasi.

— Panna nie wie, czy tu mieszka panna Lenora Zara? — zapytał.

— A tu — albo co?

— Chciałbym się z nią widzieć...

— Ja nie wiem, bo chora — rzekła Kasia.— Młody pan dobył z pugilaresiku z kości słoniowej, herbem rzeźbionym ozdobnego, bilet, na którym stał jakiś rogaty znak w kącie, podał go Kasi i prosił, aby podała go pannie Lenorze z żądaniem widzenia się.

Kasia wśliznęła się...

Lenora siedziała z tą bezwładnością zamyśloną, z jaką przy mechanicznej pracy siedzi człowiek nie nawykły do niej; głos Kasi obudził ją jakby z uspienia.

Na widok podsuniętego biletu, tylko okiem nań rzuciwszy, zaczerwieniona porwała się, ręce się jej zatrzęsły i głos ledwie z ust mógł dobyć.

— Nie mogę — zawołała — jestem chora, ani dziś, ani poźniej — nigdy, powiedz temu panu... Nigdy!

I padła na kanapkę, a po chwili za Kasią pobiegła drzwi zaryglować.

Młodzieniec stał zamyślony u progu... Zrazu zdawał się nie dobrze rozumieć... Kasia mu powtarzała — Proszę pana, panna Lenora przeprasza (to dodała własną inicyatywą), że się widzieć nie może, ani teraz, ani — nigdy.

Nieznany pan podniósł głowę... milczał.

— Wyraźnie mówiła, proszę pana, ani teraz— ani nigdy.

Popatrzał na Kasię i jakby znajdował niewłaściwem dłużej z nią rozprawiać, skrzywił się, kiwnął głową i zwolna odszedł. Szedł zadumany, jakby sądził, że go napowrót

zawołają. Kasia patrzała za nim na schodach, widziała, jak mu się ramiona ruszały, kapelusz trząsł, jak fatalnie jakoś machał laską, mykał się po schodach i zniknął.

Kasia już miała odchodzić, gdy kapelusz zjawił się na nowo, laska także, ramiona i podniesiona głowa zdawała się jej szukać.

— Panienko! — zawołał wskazując, aby ku niemu zeszła. Służąca pochyliła się nieco — A co?

Wyciągnął papierek z uśmiechem jakimś niemiłym.

— Puść mnie waćpanna! ja się wytłumaczę.

— Co? co? — z oburzeniem odparła cofając się sługa — ot to także...

Mężczyzna postrzegł, że z tego nic nie będzie, skrzywił się i znowu zbiegł na dół. Ta próba przekupstwa smutne o nim dała wyobrażenie służącej, ale nie wspomniała o niej pannie Lenorze, ani żadnemu ze znajomych.

— Proszę ja kogo! — mruczała tylko nie mogąc się uspokoić — to łotra kawał! — myślał, że za pieniądze sobie kupi wejście... O! już pewnie z niczem dobrem nie przyszedł! Dopilnuję ja, żeby mi się tu nie pokazywał... a jeżli zechce gwałtem się cisnąć, tak go miotłą zamaluję, że popamięta! Patrzcie no go! mądrala!

W parę dni przyszedł doktor znowu, tym razem nie wzywany, ale musiał dobrze do drzwi pukać, nim go wpuszczono. Zastał Lenorę nad robotą, bladą, z oczyma zaczerwienionemi, ale na pozór spokojną i przejednaną ze swym losem. Zdawała się silniejszą.

— Przyszedłem się dowiedzieć, jakże pani jest? — rzekł stając w środku pokoiku i rozglądając się po nim uważniej niż pierwszą razą.

Izdebka była od ulicy, nieźle oświecona, mała, czysta, w jednym kącie jej łóżeczko pokryte kapą ciemną, stoliczek z książkami, w drugim szafeczka, komódka i wielki stół do roboty. Stosy nót i książek leżały pozwiązywane sznurami na podłodze, bo ich nie było gdzie rozmieścić. Przed kanapką stół cały był zarzucony bielizną i koronkami do naprawy. Lenora machinalnie trzymała w rękach jeszcze swą robotę.

— Jakże pani jest? — spytał doktor.

— Lepiej mi, dziękuję konsyliarzowi, zupełnie nawet dobrze — odpowiedziała ze spokojem udanym — naturalnie z każdem położeniem nowem ciało i dusza człowieka oswoić się musi... Przebyłam znać przesilenie i czuję się... dobrze! zupełnie dobrze!

Spojrzała na niego, kiwał głową niedowierzająco.

— A więc? — spytał.

— Więc zostanę jak jestem... mój kochany konsyliarzu — dodała cicho — ale ponieważ byłeś łaskaw mnie odwiedzić, pozwól się prosić...

— O co tylko każecie!

— O jednę rzecz, która was nie wiele kosztować będzie.

— No, no, bez wstępów.

— Dajcie mi słowo, że o mnie nie wspomniecie nikomu! nikomu!

Doktor milczał, ona jakby czekała, a nie doczekawszy się odpowiedzi, dodała zaraz:

— Mam na was maleńkie posądzenie.

— Na mnie? ciekawym?

— Widzieliście się gdzieś z panem Alfredem.

Doktor milczał.

— Powiedzieliście o mnie, nauczyliście go adresu, i zrobił mi tę niewysłowioną przykrość, że chciał mnie odwiedzić.

— A wy...

— A ja byłam zmuszoną go nie przyjąć i nie przyjmę nigdy, i jeżli się uprze pukać do drzwi moich... no, to ze stratą dla siebie wyniosę się tam, gdzie mnie nie będzie mógł znaleźć.

— Przepraszam kochaną panię — odezwał się doktor po chwili milczenia — mogę dać słowo uczciwego człowieka — że pana Alfreda nie widziałem, i że mu o mieszkaniu pani nie mówiłem wcale.

— A któż mu to mógł powiedzieć?

— No, nie wiem, ale nie ja. Ponieważ mnie pani posądziłaś niesłusznie, mam prawo się czemś pomścić i będę panię dręczył.

Jeszcze raz powtarzam, uchwyciłaś się pani najniepraktyczniejszej w świecie idei żyć z tego, co najmniej umiesz i co najgorzej płaci. Jestto, jakby jubiler został dobrowolnie kowalem. Jeżli miłość własna wasza cierpi na tem, że cię znano w innem położeniu, jedź gdzie indziej, ale nie mórz się głodem dla fantazyi.

Przepraszam — dodał doktor — panna jesteś młoda, mówię jak ojciec.

— Ja, jak od ojca przyjmuję i jak przed ojcem się dospowiadam do końca.

Rzuciła robotę na stolik, założyła ręce, poczęła mówić głosem słabym, który co chwila rósł, stawał się patetyczniejszym, bardziej przejmującym.

— Nie mogę iść szukać chleba tam... gdzie niedawno byłam równą... gdzie mnie sadzano na pierwszem miejscu... nie dla fałszywego wstydu, ale dla tego, by mnie palcami nie pokazywano. Mogłabym, masz słuszność... oddalić się, ale wiesz doktorze, co to oddalenie od miejsc pełnych pamiątek dla sieroty, co niema nikogo na świecie... Nie miałabym siły na to. Moje wspomnienia są mi rodziną, przeszłością, ojczyzną... tu, mogę pójść na grób przybranej matki mojej, tu mi się zdaje, że ją jeszcze mam, tum ja nie sama... nie zupełnie sierota... Wypędzona ztąd, umarłabym z tęsknoty...

— Zatem — rzekł doktor, siląc się na okazanie chłodnym, aby jej wzruszenia nie zwiększać — zatem co lepiej? z tęsknoty umierać czy z głodu?

Cichuteneczko szepnęła Lenora:

— Z głodu! doktorze.

— Nie ma co mówić! ceruj pani bieliznę...

Wstał z krzesełka... Lenora z uśmiechem rezygnacyi podała mu rączkę, a doktor zatrzymał ją już, aby puls wybadać, i po chwili dopiero puścił.

— Doktorze — powtórzyła — ani słówka o mnie.

— Bardzo dobrze! stanie się jak pani chcesz, ale jeźli pan Alfred już wie jej mieszkanie...

— Nie spodziewam się, aby tu przyszedł po raz drugi.

— Ja przeciwnie.

— Nie znasz pan pana Alfreda, bledniejąc i drżąc odparła Lenora — były to odwiedziny dla przyzwoitości, nieuniknione, nie wróci więcej, bo wie, że go nie przyjmę nigdy.

Po wnijściu doktora drzwi zostały otwarte, i w chwili, gdy tych słów domawiała, z przerażeniem usłyszała pukanie, a po niem natychmiast ukazał się w progu mężczyzna młody, słusznego wzrostu, ten sam właśnie, o którym była mowa.

Światło od okna padało wprost na jego twarz pięknych rysów, ale dziwnie przykrego, zimnego i dumnego razem, nielitościwego wyrazu. Na widok jego Lenora porwała się z kanapki, dając znak doktorowi, aby został, i drżącą ręką wskazała na drzwi.

— Przepraszam pana — rzekła — ja jestem chora i nie przyjmuję nikogo.

Pan Alfred stał z miną kwaśną.

— Powtarzam panu — dodała ukazując drzwi — jestem u siebie, nie przyjmuję nikogo.

— Nawet mnie? — rzekł sucho mężczyzna.

— Nikogo! nikogo! — z nerwowym wybuchem podnosząc głos wołała Lenora — a jeźli jeszcze raz zechcesz pan niepokoić mnie, będę zmuszoną zmienić mieszkanie, uciec z miasta.

Pan Alfred się począł uśmiechać, spoglądając na milczącego doktora, ruszył ramionami.

— Biorę kochanego konsyliarza za świadka, że przychodziłem, żem chciał ofiarować moje usługi... że je stanowczo odrzucono...

— Żadnej pomocy od nikogo nie potrzebuję — dumnie i stanowczo zawołała panna Lenora.

— Słyszę, podziwiam — uśmiechając się, dodał pan Alfred — ale...

— Proszę pana wyjść... Widzisz pan doktora, który przyszedł mi radzić... czy to nie starczy?

— Słowo tylko, jedno słówko — zimno odpowiedział pan Alfred — wszystko to dobre, ale potem... potwarz na nas rzucą, że my nie spełniliśmy, cośmy byli powinni... Świadkiem niech będzie doktor.

Lenora gwałtownie odwróciła się jakby z rozpaczą od pana Alfreda.

— Powiedzże mu, konsyliarzu, że ja nie mogę nie tylko mówić, ale słuchać... że to mnie zabija.—Doktor naprawdę przeląkłszy się eksaltacyi, z jaką te wyrazy wymówione zostały, skłonił się, podszedł do mężczyzny i ująwszy go pod rękę, prawie gwałtem wyprowadził go z pokoju.

Zeszli ze schodów w milczeniu, ale po fizyonomii Alfreda znać było, że potrzebował się wygniewać i wygadać.

— Kochany konsyliarzu — rzekł, gdy stanęli w bramie — mimowolnym byłeś świadkiem niemiłej sceny między mną a panną Lenorą. Idzie mi wielce o zdanie twe i sąd w tej sprawie, uczyń mi tę łaskę i racz zajść do mnie, abym mógł i siebie i rodzinę ciotki mej, pani wojewodzinej, wytłumaczyć...

— Ale cóż ja mam za prawo się w to mieszać?

— Ja pana proszę... ja chcę, byś ludzi złéj woli mógł objaśnić...

— Wolałbym wcale o niczem nie wiedzieć — rzekł skłopotany doktor — czasu mam mało.

— Pół godzinki... opowiem wszystko w krótkości.

Pochwycony pod rękę, pociągniony niemal gwałtem doktor, rad nierad zmuszony został pójść za panem Alfredem do mieszkania, które on tymczasowo w hotelu angielskim zajmował.

Apartament młodego panicza zwiastował bardzo zamożnego człowieka... Służący w herbowej liberyi zjawił się zaraz w progu.

Alfred przykazał mu, aby nie wpuszczał nikogo... podał doskonałe sygara gościowi, i przysunąwszy fotel rozpoczął w te słowa opowiadanie z chłodem, w którym źle ukrywane taiło się podrażnienie.

„Muszę rozpocząć niestety tę smutną historyę heroiny od jej pierwszych początków. Ciotka moja, wojewodzina, jak zapewne konsyliarzowi wiadomo, była w pierwszem swem małżeństwie bezdzietną; już nie w pierwszej młodości wyszła za drugiego swego męża, który jej staraniem kreowany był w r. 1831 wojewodą. Człowiek to był niemajętny, wcale dobry, nie bez zalet i talentów, ale słaby i winien wszystko żonie, pełnił jej wolę, całe życie pod pantoflem spoczywając. Wojewodzinę wszyscy znali aniołem dobroci, była w istocie dobrą, jak są egoiści, którzy z całym światem chcą być w zgodzie, aby im nic ulubionego, pieszczonego spokoju nie przerywało. Wojewodzina pod tym pozorem dobroci, dobroczynności, łagodności kryła samowolność, egoizm, dziwactwa najosobliwsze. Niegdyś bardzo piękna i uwielbiana, na starość słodyczą i pochlebstwem jednała sobie serca, potrzebując od nich kadzideł, woni i słodyczy.

Zresztą była miłą, uprzejmą... dla wszystkich równie uczynną, najbardziej dla tych, których się obawiać mogła.

— Surowym pan jesteś — szepnął doktor.

— Jestem sprawiedliwy, sucho odparł pan Alfred. Jeszcze za życia męża, nie mając dzieci a wiecznie potrzebując,

*

aby ją ktoś w rękę całował i pieścił i do nóg jej padał, wojewodzina wzięła na wychowanie sierotkę... na prawdę nikt nie wie dobrze zkąd, jakiego rodu... nie mogę przysiądz, żeby to nie było żydowskie lub cygańskie dziecko nawet... słowem podrzutka jakiegoś... przywiązała się do niego do szaleństwa... bo dzieciak mądry udawał czy w istocie kochał ją namiętnie!

„Cóż dziwnego! wzięto to z pod płotu ze śmieciska, a wychuchano jak pańskie dziecko, wykołysano w koronkach; nie było dla kochanki tej nic za drogiego, ani sukienki, ani nauczyciele, ani fantazyjki jej... Zabawki sprowadzano z Londynu... bony z Paryża,.. a że dziecina jeszcze była ładna, dowcipna, utalentowana, bystra... wojewodzina bawiła się nią zupełnie, jak to się stare panie bawią pieskami, nie pomnąc, że pieskom potem, nawykłym do pieszczot, źle na świecie być może.

„Familia wojewodzinej sprzeciwiać się temu nie mogła... Majątek miała ogromny, a narazić się jej, było to wykluczyć się samemu od spodziewanego spadku. Wszyscy więc nie tylko padali przed wychowanką, pochwalali fantazyę staruszki... ale starali się przez pannę Lenorę łaskę jej pozyskać. Lena była panią wszechwładną majątku, domu, serca wojewodzinej. Ale cóż było na to poradzić... Musieliśmy milczeć.

„Wiedzieliśmy, że w testamencie choćby chciała, znacznego jej legatu nie zrobi, a w ostatku spodziewaliśmy się zrobiony nawet unieważnić. W ostatnich latach przed śmiercią, w miarę jak słabła wojewodzina, władza wychowanki stawała się coraz większą... a jednej chwili bez niej staruszka się obejść nie mogła.

„Nie mogę nic powiedzieć przeciwko pannie Lenorze, nie zepsuło ją to na pozór, ale wykołysało w niej dumę i miłość własną niezmierną.

„Jako siostrzeniec wojewodzinej bywałem bardzo często w jej domu; byłem młody, Lenora była i jest piękną; ciocia widziała mnie rada czule się zbliżającym do niej, byłem więc grzeczny, ale nic więcej, tylko grzeczny. Czy wzięła to opacznie i wyobraziła sobie coś więcej niż było, o tem nie wiem. Ciocia zagadywała mnie wiele razy, starała się wybadać; chwaliłem Lenę... ale miałem się na ostrożności, nie chcąc ani drażnić staruszki, ani się kompromitować.

„Że mnie ciągnięto i życzono sobie, to nie ulega wątpliwości.., a że ja z lada przybłędą nie mogłem się żenić ani pomyśleć, to pewna. Myśl taka mogła się tylko zrodzić w głowie zdziecinniałej staruszki i rozpieszczonego, zepsutego stworzenia.“

Ruszył ramiony pan Alfred spoglądając na doktora, który palił sygaro i zapatrzył się w okno.

„To wstęp do tej historyi—mówił dalej pan Alfred.— Powtarzam, że nie ujmuję bynajmniej pannie Lenorze wysokich zalet... jest to osoba, mogąca na królewskich wystąpić salonach... Wojewodzina ją do śmieszności ubóstwiała.

„Już pod koniec życia, kiedy staruszka była chora i z krzesła się nie ruszała... a my coraz bardziej naturalnie trwożyliśmy się o ten nieszczęsny testament, wysłała mnie matka do cioci nieboszczki, aby ją ująć w jakikolwiek sposób, słysząc że się zbierała na zrobienie tego aktu stanowczego. Szło nam o to, aby nie przekazała majątku drugiej siostry dzieciom. Pojechałem...

„Drugiego czy trzeciego dnia pobytu, staruszka, jakem się spodziewał, oddaliwszy od siebie cały dwór, przywołać mnie kazała. Była to chwila stanowcza, jak dziś pamiętam rozmowę.

— Fredku mój — rzekła staruszka kładnąc mi wychudłą rękę na dłoni — ja się coś źle czuję, podobno mi już nie długo na tym świecie przyjdzie z wami pozostać! Co się wówczas stanie z moją drogą córką, z moim aniołem, z moją Lenorcią. Tyś jej zawsze okazywał wiele współczucia, wiele dla niej sympatyi, ja w tobie pokładam nadzieję, że ty swój los z jej losem połączysz. Jest godną ciebie... wychowałam ją jak królewskie dziecię... śliczna, rozumna, utalentowana... miła, dobra... Któż zważa dziś na pochodzenie... Ona była jakby mojem własnem dziecięciem...

Alfredku... uspokój mnie...

„Cóż miałem uczynić, kochany konsyliarzu... co? powiedz? Miałżem powiedzieć jej — nie chcę! nie mogę? Musiałem zbyć kobiecinę dwuznacznikiem, aby jej nie martwić, w duszy przyrzekając sobie, że będę się starał pannie Lenorze to wynagrodzić.

„Ożenić się mimo jej ślicznych oczów nie mogłem, cioci tego powiedzieć nie było podobna, odrzekłem więc ni to ni owo. Dałem słowo tak jak ci tu mówię:

— Niech ciocia będzie o los panny Lenory spokojną!

„I pocałowałem staruszkę w rękę, stara pocałowała mnie w głowę, i na tem się skończyło. Na tej podstawie staruszka zrobiła testament zapisując nam cały majątek, a Lenorze parę kroć stotysięcy tylko.

— A więc był zapis dla niej! — zawołał doktór.

— Którego ona nie przyjęła — odparł pan Alfred — dlatego, że jej się pewnie zdawało, iż cały majątek jej się należy wraz ze mną. Parę kroć stotysięcy było za wiele dla niej, to pewna, alebyśmy byli jej pensyę zapewnili... Tymczasem ciocia zmarła...

„Do ostatniej godziny byliśmy przy niej, to prawda, że umierając jeszcze rękę panny Lenory i moję razem ściskała w stygnących już dłoniach. Nie chciałem jej martwić i sprzeciwiać się, myślałem że dziewczyna ma przecie tyle rozsądku, iż zrozumie tę komedyę przymusową. Ale nie, jej się śniło, że ja się z nią ożenię, wbiła to sobie w głowę, a gdy mama po śmierci cioci dała jej do zrozumienia, kim ona jest i jakie dla niej właściwe stanowisko...

zabrawszy tylko, co miała sobie przez nieboszczkę darowanem, nie chcąc od nas nic więcej, wyleciała zagniewana. Oto masz, kochany konsyliarzu, całą historyę w ogólnych rysach. Powiedz mi, com ja tu winien? Mógłżem postąpić inaczej! Nie jestem bez czucia, bez serca, czuję, że coś dla niej zrobić należy przez samę pamięć dla nieboszczki... ale przyznam ci się, że ani tych zapisanych dwóchkroć, ani takiego głupiego ożenienia... wymagać po nas nie może...

„Cała rzecz — ciągnął pan Alfred — rozpieszczone to, zepsute, dumne... a zapomniało, że czem jest winna cioci... że walałaby się gdzieś po karczmach może, gdyby nie ona. Alboż to małe dobrodziejstwo talenta, które z naszej łaski posiada, wykształcenie, ton dobry... może pójść gdzie za guwernantkę... ma los i chleb w ręku. Z tego co ciocia jej dawała, garderoby, fraszek... niceśmy jej nie odebrali, choć były rzeczy bardzo kosztowne, pamiątkowe... zapakowała co chciała, wywiezła... Jeden fortepian Erarda mama zatrzymała dla salonu, choć niby jej był, bo nawet nazwisko stało wypisane... No! ja tego nie pochwalam... ale proszę doktora? mama mogła to uczynić! Należał do salonu...“

Doktor palił cygaro nie dając najmniejszego znaku ani zgody ani przeciwieństwa, słuchał martwo i tak, jakby już naprzód wiedział, co mu ten pan powie, zdając się tylko z upragnieniem czekać końca.

Pan Alfred tryumfująco skończył z uśmiechem człowieka, który pewien jest, że przekonał, i spodziewa się głośnej aprobaty. Zdziwił się, nie mogąc z ust doktora doczekać ani słowa.

Po długim przestanku doktor westchnął, wziął kapelusz powoli, skłonił się i chciał odchodzić.

— No... ale jakże... szczerze? mów! cóż sądzisz, jak miałem postąpić? — naglił Alfred...

— Jak pan miałeś postąpić, nie wiem — rzekł doktor chłodno — ale to pewna, że ja na jego miejscu byłbym ani staruszki ani panny nie zwodził.

— No tak! a spadek poszedłby na drugą linię! — zawołał Alfred ręce łamiąc—wiesz konsyliarzu, że to przecie parę milionów.

Doktor nic nie odpowiedział i znowu się wybierał.

— Czekaj, słowo! — dodał młodzieniec, chwytając go.— Znasz ją, wiesz teraz interesa, bądź pośrednikiem. Damy jej pensyi dożywotnej parę tysięcy, i niech nam da pokój... Co?

— Mogę was zapewnić, że gdybyście jej cały spadek po wojewodzinie oddać chcieli, to go nie weźmie.

Alfred się cofnął.

— Ja to ofiaruję z litości, obowiązku nie mam...

— Właśnie tej litości ona nie zechce od was. Ale szanowny panie, pozwól sobie powiedzieć, że gdyby ona mniej była bezinteresowną, a znalazł się prawnik śmiały, wyprocesowałby z was łatwo całe dwakroć stotysięcy.

— Nie — rzekł zimno Alfred — ja byłem w czasie pisania testamentu i dopilnowałem się. Zapis jest nieformalny.

— Jakto? w jednym testamencie dar dla was ważny, a dla niej nieformalny? — z oburzeniem ironicznie spytał doktor.

Pan Alfred bynajmniej się nie zmieszał.

— Nie jesteś prawnikiem, doktorze — odpowiedział — co innego jest zapis dla familii, czem innem dać osobie obcej. Powinna go była inną uczynić formą.

Zwycięsko się uśmiechnął.

Lekarz spojrzał i nie odpowiadając ani słowa, tym razem na dobre pożegnał pana Alfreda i oddalił się. Po wyjściu jego młody panicz... zapalił nowe sygaro... siadł w fotelu i zamyślił się.

— Ha! no! niechce nas znać! nie chce nic — to nic! mniejsza o to! — zawołał konkludując — to mi wszystko jedno!

Chociaż pan Alfred mówił przed sobą, że mu to zupełnie było jedno, iż go panna Lenora znać nie chciała, nazajutrz wszakże przeszedłszy się po świecie, podrażniony kilku szyderskiemi pytaniami i pewnym tonem, z jakim go po towarzystwach spotykano, musiał nieco zmienić przekonanie, gdyż z wieczora postanowił dostać się jeszcze do Lenory i rozmówić z nią koniecznie.

Zamknięte i wyraźnie zakazane mu drzwi jej, nie zdawały się dlań przeszkodą nie do przemożenia, raz bowiem już ten próg mimo woli pani przestąpił, nie wątpił, że i powtórzyć to potrafi.

Był pewny prawie, że doktor będzie znowu u swej pacyentki, postanowił z tego podobnie jak pierwszym razem korzystać. Znając bardzo dobrze miasto, zasiadł w niedalekiej cukierni czatując na konsyliarza, którego karetka w istocie zatrzymała się przed pałacem Zamojskich. Pan Alfred przepuściwszy doktora przodem i dawszy mu wnijść na piętro, wsunął się za nim... A że rozmowy swej z panną Lenorą nie chciał go mieć świadkiem, skłonił się do wyczekiwania w korytarzu na spodziewane rychłe wyjście konsyliarza. Wszystko to całe niezgrabnie było ukartowane, a jednak, jak wiele śmiałych pomysłów, udało się nieźle. W chwili gdy doktor wychodził nie patrząc na przyciemniony korytarz, pan Alfred po za nim niezaryglowane drzwi otworzył, szybko je za sobą zamknął i stanął przed zdziwioną tem zuchwalstwem Lenorą.

Wyraz jej twarzy malował dostatecznie oburzenie, które nią całą wstrzęsło na widok śmiałka, co się stawił z dumą i zuchwalstwem narzucając... Nie znalazła wyrazów w pierwszej chwili na ustach... i ręka tylko konwulsyjnie podniesiona drzwi mu wskazała.

— Przepraszam panię—gniewnie zawołał pan Alfred — czy się pani podoba czy nie, rozmówić się raz musimy. Winnaś to pani jeźli nie mnie, to tej rodzinie, której obowiązana jesteś za wszystko... to pamięci mej ciotki...

Milcząca Lenora ruszyła ramionami, bała się ust otworzyć może, by zanadto nie powiedzieć.

— Tak jest — kończył pan Alfred krocząc ku środkowi pokoju — wymagam rozmowy stanowczej.

— Słucham pana.

— Raz rozrachunek między nami musi być skończony... Pani winnaś mej rodzinie byt, wychowanie, talenta, opiekę... i odwdzięczasz jej za to rzucając na nię swem postępowaniem cień... potwarz... posądzenie.

Lenora się podniosła z brwią straszliwie zmarszczoną.

— Aniołby nie wytrwał... nie przeniósł cierpliwie tego, co mi pan śmiesz mówić. Wam, rodzinie waszej nie winnam nic, wszystko zmarłej mej świętej opiekunce... z wami nic mnie nie wiąże, i nie chcę, by mnie cokolwiek łączyło. Otrząsłam proch z nóg mych rzucając dom, który się stał waszym.

— Za cóż te gniewy? za co? — podchwycił Alfred — czy za zawiedzione nadzieje, ktoremi ja nigdy pani nie karmiłem! Dla osłodzenia cioci ostatnich chwil musiałem potakiwać, nigdy nic nie przyrzekając...

Wielkim dzikim śmiechem otwarły się usta Lenory, i ręce, uderzając je o siebie, załamała.

— Jakto? pan myślisz, pan posądzasz mnie, że jam kiedykolwiek, na jednę sekundę, na chwileczkę dała się uwieść tej komedyi, że jej nie rozumiałam? A to wyborne? Pan nie wiesz, że miałabym się za najnieszczęśliwszą istotę na ziemi, gdyby mnie był los do was przykuł. Raczej śmierć! Jam także dla tej nieszczęśliwej opiekunki, dobrodziejki mej, tego anioła musiała się skłonić do posłuszeństwa pozornego jej woli, aby o los mój spokojną usnęła. Ztamtąd, z niebios widzi ona moję ofiarę... spełnioną z rezygnacyą, mimo całego wstrętu mego do fałszu, którym ja także karmić ją musiałam. I pan pomyśleć mogłeś, że ja!!—Roześmiała się dziko... Pan Alfred obrażony stał kręcąc kapeluszem.

— Na miłość Boga, ja do was, panie Alfredzie, najmniejszego nie mam żalu... waszę grę od pierwszej chwili widziałam jasno, rozumiałam doskonale i pomagałam jej dla spokoju staruszki...

— Przypuszczam, że tak było, jak pani mówisz—odparł sucho Alfred — za cóż gniewy? dąsania...

— Ani gniewu ani dąsania, tylko pozwólcie, że żadnych stosunków mieć nie mogę i nie chcę z rodziną pańską... Ja, jak wy mówiliście nieraz, jestem sierotą z pod płota wziętą, co prawda... wy należycie do innego świata...

Ukłoniła mu się odchodząc do okna, on stał zły...

— Jam wam wszystko winna, wy mnie nic? a zatem po cóż mnie dręczycie? powiedźcie com dłużna? i jak mam wypłacić?

— Tem przynajmniej, abyś pani ku nam nienawiści nie miała — rzekł Alfred.

— Tej nie mam cale... zaręczam, inne uczucie zostawiliście w mem sercu. Uwolnicież mnie od tortury! błagam. Czego pan chcesz?

Alfred zmieszał się i nie wiedział już co mówić.

— Zgody — rzekł...

— Ani kłótni ani zgody być nie może, gdzie społeczne stanowiska są tak różne, iż stosunku nawet nie dopuszczają.

Położyła rękę na czole wskazując, że głowa ją paliła, odeszła znowu do okna. Alfred stał jeszcze... myślał i zdobył się nareszcie na przemówienie.

— Z powodu pani — rzekł — towarzystwo całe rade, że coś do nas znalazło... Koso poczyna na mamę i na mnie spoglądać. Krążą niedorzeczne plotki... Jeszcze raz powtarzam pani, iż będąc naszej rodzinie winną tyle... obowiązaną jesteś...

Lenora zrzuciła z siebie okrycie, jakby ją piekło, i podbiegła ku niemu.

— Com ja wam winna? — zawołała — co? żeście mnie jak psa dla zabawki wzięli, wychowali, wypieścili, aby go potem nogą wypchnąć, gdy został niepotrzebnym?

Czym was prosiła o to, abyście mi dali wychowanie, nałogi, obyczaje, które dla mego stanu są ciężarem, byście lalkę zrobioną do salonu w balowej jej sukience, z rękami odwykłemi od pracy, wyrzucili na chłód i wicher ulicy! Tak! tak! winnam wam nienawiść, winnam pogardę... nic więcej. Nie uszanowaliście we mnie istoty ludzkiej, zrobiliście z niej igraszkę!

Uboga, żebraczka, sponiewierana byłabym szczęśliwszą, miałabym choć przybraną rodzinę żebraków jak ja, jak ja sponiewieranych ludzi, dziś nie mam — żadnej.

Alfred słuchając tego wybuchu, cofnął się o krok.

— A! to tak! — rzekł — jeźli tak, nie mam tu co robić!

— Dawnoś to pan powinien był zrozumieć. Dla mej matki, dobrodziejki, opiekunki mam cześć, mam miłość najwyższą, ona pojmowała inaczej swe macierzyństwo dla mnie. Dla was ja byłam istotą obcą, narzędziem, podrzutkiem... którego pozbyć się jak najprędzej pragnęliście. Jeszcze zwłoki mej matki nie ostygły, a już chcieliście wygnać mnie z domu, chcieliście zabronić mi iść za jej pogrzebem! Wypędziliście... jak...

— To wszystko exageracya — rzekł pan Alfred łykając wyrazy— naturalnie było niepodobieństwem dozwolić, abyś pani szła z familią za jej trumną, ale nikt jej nie bronił asystować pogrzebowi.

Lenora z gwałtownego wzruszenia nie mogąc już odpowiedzieć, zaszła się od płaczu, i pochylona na kanapę jęczała, wołając. A! któż mnie od tego człowieka uwolni.

— Ale ja idę! idę sam! — zawołał coraz gniewniej pan Alfred — myślałem, że przecież rozsądnie będziemy mogli

pomówić, bez tych tragedyi! Nie jesteśmy wcale od tego, ażeby coś dla pani uczynić. Mama z chęcią jej ofiaruje dożywotnią pensyę.

— Na miłość, na rany Chrystusa, uwolń mnie pan od siebie i od tych ofiar upadlających! Wolę umrzeć z głodu, niż szeląg przyjąć od was... a dzięki Bogu mam młodość, mam siły — mogę pracować i nie potrzebuję nic... nic.. nic!

Była chwila milczenia. Pan Alfred wybierał się jakby do wyjścia, a jednak wynijść nie umiał... coś go przykuwało do tego progu... niepokój jakiś nie dozwalał mu porzucić tak tej, której podał był niegdyś dłoń u łoża konającej jakby na pielgrzymkę życia...

— Niechże się pani raczy uspokoić — rzekł — bardzo przepraszam i odchodzę... a gdybym kiedykolwiek mógł być w czem użytecznym, niech pani wierzy...

Nie odebrawszy ani słowa odpowiedzi zatrzymał się jeszcze, stał chwilę, a na ostatek trzaskając drzwiami wyszedł. Za progiem stanął, chcąc zapewne uspokoić się przed wyjściem na ulicę... obciągnął suknie na sobie, poprawił włosy... włożył kapelusz, spojrzał na zegarek, ruszył ramionami i powoli schodzić zaczął ze schodów.

Pomiędzy nim a Lenorą, między jego chłodnym spokojem a jej rozpaczą do szału dochodzącą, sprzeczność była rażącą, jednakże na twarzy tego człowieka praktycznego, rozsądnego, biorącego rzeczy zimno i przyzwoicie, malowało się coś, co zdradzało, że wrażenie sceny patetycznej, jaką przebył, dopiero teraz czuć mu się dawało.

Stanął wśród trotuaru podnosząc laskę do góry i rzekł skrzywiony:

— Mama jest zbyt surową, jabym jej zresztą dał procent od tych przeklętych dwóchkroć, i byłby spokój, ale z mamą! Ma może słuszność... cóż z tego... ludzie będą paplać... to nie miłe! Lepiejby się wykupić! (C. d. n.)

JAN MATEJKO.

(Dokończenie.)

Wykończeniem obrazu, przedstawiającego Jana Kazimierza, poczyna się, jakeśmy to wypowiedzieli w poprzednim artykule, nowy okres w życiu Matejki. Okres ten odznacza się zarówno zmianą w stosunkach domowych Matejki, jakoteż i w artystycznych.

Urządził on sobie teraz już (1862) osobną pracownię. Nieświetna to była pracownia, bo zajął Matejko miejsce po fotografie, który je dla niedogodności i zimna opuścił. Cechuje to dobitnie stosunek sztuki do przemysłu. Przemysłowe przedsięwzięcie, jakiem jest fotografia, lepiej popłaca niż sztuka w takim kraju i w takich stosunkach, gdzie więcej się ludzie ubiegają o płody tanie i łatwe do wykonania, niż o utwory rzeczywistej wartości artystycznej.

W tej skromnej i niedogodnej pracowni powstały te dzieła Matejki, które imieniu jego zjednały od razu jedno z pierwszorzędnych stanowisk między artystami. Ztąd wyszła Urszulka, obraz godny wielkiego poety, którego miłość i boleść artysta umiał uczuć i przelać na płótno, jak przed nim żaden nie zdołał. Kochanowski znalazł w Matejce godnego tłumacza.

Umysł Matejki potrzebował na to, aby się okazać w całej swojej potędze, rozleglejszego pola, przedmiotów wznioślejszych, uczuć gwałtowniejszych, niż owo ciche, bierne, żałobne rozpamiętywanie poety nad zgonem ukochanej córki. Na wszelki wypadek dowodził sam wybór przedmiotu głębokiego poczucia poetycznego; jednak poczucie to, które tlało w przygnębionym smutkiem ojcu płomieniem bladym lampy nagrobnej, rozżarzyło się w piersiach młodego artysty w płomień namiętności wobec czynów, które światem wstrząsały.

W tymże samym roku 1862, częścią pod wrażeniem wypadków, które Warszawę krwią jej ludu zbroczyły, częścią w przeczuciu ważniejszych jeszcze, które zajść miały, wystawił on Skargę, gromiącego występne życie dworu i panów. Obraz ten przemawia do dzisiejszych tą samą myślą, jaką był natchniony każący i karzący Skarga.

Już Jan Kazimierz, a szczególnie Urszulka uczyniły niepospolite wrażenie w Warszawie, ale w Skardze, któremu Matejko poświęcił dwa lat pracy, nacechował on się już jako jeden z mistrzów. Na wystawie paryzkiej w r. 1865 otrzymał ten obraz złoty medal.

Jeszcze nie był wykończonym obraz przedstawiający Skargę, gdy wypadki męczeńskiej biernej walki w Królestwie przemieniły się w katastrofę wojenną. Podczas gdy lud walczący bez środków pieniężnych, bez zasobów i prawie bez broni ostatniem wysileniem pragnął wywalczyć ojczyźnie swobodę, której sam jeszcze nigdy nie doznawał, patrzyli ci, których los ojczyzny najbliżej powinien był obchodzić, bo nią niegdyś rządzili, obojętnie na rozpaczliwe pasowanie się ze stokroć silniejszym wrogiem. Patrzyli się nietylko obojętnie, ale nawet oddawali się rozrywkom, których zgiełk boleśnie musiał odbijać od zgiełku owej smutnej walki, przypominającej tępienie pierwszych chrześcian przez rozsrożone pogaństwo. Błaznem był w

oczach tych odrodnych synów ojczyzny, kto się poświęcał na pewną zgubę, w nadziei, że krew jego stanie się zarodem lepszej przyszłości. Pod wpływem tego cierpkiego przekonania powstał Stańczyk.

Tworczy umysł artysty odszukał w skarbnicy dziejów, z którą dokładnie jest obznajomiony, przedmiotu najodpowiedniejszego zarazem co do chwili i do usposobienia jego własnego. Błaznowali ci, których losy ojczyzny nie obchodziły, w chwili najgroźniejszej dla jej przyszłości; błaznami zwano tych, którzy widząc upadek sprawy ojczystej, swoje szczęście wraz ze szczęściem ojczyzny pogrześć postanowili. Artysta wystawia nam też błazna, Stańczyka, który na wieść o zajęciu Smoleńska uciekł z pośród zgiełku błaznujących ojców ojczyzny, aby sam jeden niepoważny i niepoważany zapłakać nad dolą ojczyzny. Role się zmieniły; ludzie mieniący się patryotami przywdziali w chwili stanowczej szatę Stańczyka, a ów pomiatany błazen został piastunem ducha narodowego, którego tamci uronili. Toż samo działo się w r. 1863, toż samo dzieje się dzisiaj — to natchnęło artystę do utworzenia takich dzieł, jakiemi są „Skargi kazanie", „Stańczyk" a poźniej „Rejtan".

Utwory te już znamionują myśl narodową, polityczną Matejki, i zaprawdę wymowniejsze i trwalsze wyznanie wiary politycznej jest złożone w tych dziełach artysty, niż w najświetniejszych mowach naszych jednodniowych polityków, którzy dzisiaj pioruny miotają na to lub owo stronnictwo polityczne, a jutro z tem samem kompromisa zawierają dla osobistych widoków, które osiągnąwszy pojutrze znowu kompromis zdradzają.

Oprócz Skargi i Stańczyka wykonał Matejko w tymże samym czasie na żądanie pewnego koła lekarzy portret Dietla.

Nie zadowalniało się wszakże patryotyczne uczucie Matejki tem, ażeby uwydatniać się w dziełach, jakkolwiek wielkiej artystycznej wartości a nie mniejszej pod względem politycznym; lecz poczytywał on sobie za obowiązek brać udział czynny w powstaniu r. 1863.

Przyjaciele starali się odwieść go od tego zamiaru, przedstawiając, że przy wątłych siłach fizycznych nie dojdzie nawet do granicy. Ani odradzania, ani nawet szyderstwo, do którego się uciekali przyjaciele, chcący go zachować ojczyźnie do innych posług, nie byłyby go powstrzymały od udania się na pole walki, gdyby zapadnięcie na zdrowiu jeszcze przed wyprawą nie było go przymusiło do pozostania w domu. Nie mogąc brać udziału osobiście w powstaniu poczytał sobie za obowiązek, wyprawić swoim kosztem kilku innych z młodzieży, na co też nie szczędził bynajmniej swoich szczupłych funduszów.

W r. 1863 ożenił się Matejko i upamiętnił tę nową epokę w życiu swojem pracą pęzla, portretem żony swojej w ślubnym stroju. Nie mógł zaprawdę artysta godniejszego podarku ślubnego ofiarować swojej oblubienicy. Ożenienie wpłynęło pomyślnie na osobiste stosunki artysty. Przedtem bowiem oddany z całym zapałem twórczego umysłu sztuce, zapominał o swoich potrzebach i byłby może wkrótce sterał siły i zdrowie, czemu teraz zaradza zapobiegliwość kochającej żony. Mógł on się odtąd oddawać pracy artystycznej bez troski o drobne codziennego życia potrzeby.

Wrażenie, jakie uczynić musiało na umyśle każdego szczerego patryoty zachowanie się nieodrodnych dziedziców targowickiej polityki w czasie powstania ostatniego, dało początek kompozycyi owej, która od razu Matejkę postawiła w pierwszym rzędzie malarzów europejskich. Mówimy o Rejtanie.

Naraził sobie Matejko tą kompozycyą tych, którzy myśleli, że bez ich łaski artysta istnieć nie może; zjednał sobie za to opinię całej oświeconej Europy, której wyrok uszanowały nawet koronowane głowy.

Wynagrodzonym został Matejko przez zakupno Rejtana i zaszczyty, jakie mu z powodu tego dzieła świadczono, za niestosowne obejście się z nim ze strony służalców tego, który zakupił jego „Skargi kazanie." Wśród ostrej zimy musiał Matejko wraz z obrazem swoim jechać do nabywcy „Kazania Skargi" na wozie drabiniastym i przeziębił się tak, że tej demokratycznej przejażdżki do arystokratycznego domu o mało życiem nie przypłacił.

Świetny sukces, jakiego doznał „Rejtan", podniecił czynność artystyczną Matejki do zdumiewającej potęgi. W ciągu roku 1867 wykończył on cztery dzieła, które się z sobą o pierwszeństwo sprzeczają: Sędziwoja, któregośmy oglądali na wystawie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie; Władysława Białego, Ogłoszenie wyroku śmierci przez rajcę krakowskiego i Wskrzeszenie Łazarza.

Ogłoszenie wyroku śmierci odnosi się podobno do osobistych jego stosunków; to zdaje się znamionować przedstawienie własnego portretu w osobie winowajcy i napis na pergaminie: „Jan Matejko winien śmierci". Wskrzeszenie Łazarza jest obrazem wotywnym, wykonanym na żądanie mieszczan z Wiśnicza, a poświęcony pamięci księdza Giebułtowskiego, z którym w ścisłej żył przyjaźni. Postać Łazarza jest portretem.

W zeszłym roku wykończył Matejko obraz, któryśmy oglądali na lwowskiej wystawie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, i w tymże roku zaczął obraz, wykończony w r. 1869, który wieńczy szereg dzieł Matejki tak świetnie, że nie mamy śmiałości zapytać: czy może jeszcze artysta pójść dalej. Mówimy tu o Unii lubelskiej.

Obraz ten dowodzi, jak umysł Matejki idzie zawsze wślad za rozwojem ducha narodowego i myśli politycznéj. Takiemi dziełami znamionującemi wiarę polityczną Matejki są: Stańczyk, Rejtan, Unia lubelska.



PRZY OGNISKU. *(str. 42.)*
(str. 42.)

Illustracya J. Kossaka.

Unia lubelska jest dziełem, które powinno przejść w posiadanie narodu, nie zaś pojedyńczego człowieka, dla tego z radością chwyciliśmy się pomysłu, aby obraz ten zakupić dla kraju. Spodziewamy się, że komitet, zajmujący się sypaniem kopca, doprowadzi do skutku nabycie tego dla nas tak drogocennego dzieła, które stanie się rzeczywiście pomnikiem jednej z najpiękniejszych chwil w dziejach naszych.

Dla dopełnienia naszego zarysu należy dodać, że szereg prac przez nas wymienionych stanowi tylko kwiat działalności artystycznej Matejki. Oprócz tych jednak istnieje mnóstwo drzeworytów, podług jego rysunków zamieszczonych w ilustrowanych pismach warszawskich.

Płodność i pracowitość Matejki są to zalety podrzędne obok genialnej jego twórczości, która się objawia głównie w tej niezależności umysłu Matejki, że tak pomysły do dzieł jego bywały zawsze z własnego czerpane natchnienia, jako też i sposób wykonania zupełnie jemu tylko właściwy i od nikogo nienabyty.

Z tego powodu czynili mu cudzoziemcy zazdrośni zarzut, jakoby nie poszedł za żadną szkołą, ale dziś już przyznają właśnie w tem największą zaletę, że Matejko sam jest szkołą.

Karol Widman.

Przy ognisku.

Quid mirum est, quod ego non omnibus placeo?
Forsitan et mihi non omnes placent.

Seneca.

W ciemnym ostępie stoją graby mszyste
W dziwacznych kształtach szeroko rozsiadłe;
Górą się mroczą sklepienia gaiste,
A dołem leżą zdawna pnie upadłe...

Ostęp dokoła otaczają gąszcze,
Że promyk słońca tu nigdy nie błyśnie;
I chyba górą brzękną leśne chrząszcze,
A dołem chyba wąż się tu przeciśnie...

Wałem dokoła leżą kłody mszarne
Lekko owiane paproci kitkami;
A mchy brunatne i zielono-czarne
Porosły górą świeżemi gwiazdkami...

Tu duch zaklęty boru zda się mieszka,
Bo nic żywego w tym zielonym grobie;
A jednak wiedzie do ostępu ścieżka,
I widać czasem ktoś tu siada sobie;
Bo przy pniu starym wygasłe ognisko,
I stos suchego łomu leży blisko: —
Więc my nie pierwsi — i jest dusza żywa,
Co w tym ostępie czasami przebywa?...

Jest! I niedługo trzeba było czekać,
A na tej ścieżce, którą dzik wyprawił,
Pies naprzód szczeknął — lecz znać nie śmiał szczekać —
A potem stary myśliwy się zjawił.

Bardzo mi pięknie wyglądał i zdarnie:
Znać czy wojskowy, czy w świecie bywały,
Strzelba na plecach, pies przy nodze karnie,
A wzrok poważny i poczciwie śmiały. —
Zdjął czapkę z głowy i spojrzał do góry,
Jak gdyby duszę tym urokiem chłodził,
I wzrok myśliwca, poczciwie ponury,
Po małej chwili dziwnie się złagodził...

„Cicho tu cicho!“ — rzekł po chwili sobie —
I dziwnie miło w tym zielonym grobie!
Gdyby człek nie szedł z frasunkiem do lasu,
Ha! toby w lesie użył sobie wczasu;
Bo tutaj dusznie i bardzo uroczo!
Sklepienia grabów tak się pięknie mroczą,
A co za spokój! A jaki chłód wonny!
Ha — to nie mszarny, to ostęp zakonny“.

I włosy ręką od czoła odczesał;
I siadł na kłodzie i ognia wykrzesał,
Zażegnął ogień i łomu dokładał,
Zapalił lulkę i sam z sobą gadał...

„Lulka i ogień, to dwie dobre rzeczy!
Jest ich i więcej — nikt temu nie przeczy —
O jest — i było — i miećby je można!
Lecz liszka chytra i dziwnie ostrożna;

A wilk to złodziej — a niedźwiedź to zbójca;
Więc trudne rzeczy — bo gdzie taka trójca,
Tam z pojedynką nie ma mądrej sprawy,
Tam już łowczego trzeba i obławy,
I psów dowodnych, szczwaczy i sieciowych —
A gdzie to szukać dzisiaj psów gniazdowych?
Same pokurcze! gniazdo psów się zwiodło;
Gdzie to pogoni, co tak szczeka podło?
Gdzie to do łowów pies, co z kloca jada?
Pokurcz w pokurcza paruje i zławia!
Ja nim podkładam, a on się pokłada.
„Ha! Popraw!“ — wołam — myślisz, że poprawia?
Pokurcz kanalia, kładzie się i zławia!
Myślisz, że stanął — a on mysz wystawia.
Więc z czem to człeku iść dzisiaj do pola?
Et! tfu do licha! — głupstwo i swawola“...

I długo patrzał ponuro w ognisko,
Aż wzrok znienacka rzucił na mrowisko:

„Otóż to jeszcze miła sercu rzesza;
Co to nie robi? gdzie to nie pospiesza?
Jakie to mądre! a jakie to zgodne!
Jakie to rządne! a jakie swobodne!
A zjedzże licha, panie djable sępie!
Czy im co zrobisz tu w mszarnym ostępie? —
Więc też z mrowiska jest Bogu kadzidło —
A to nie mądre bydło — wiecznie bydło!
I w szkodę lezie i każdy je grabi,
Pastuch je sprawi — samo się nie sprawi!
Anioł na niebo nawet go nie zwabi,
A djabeł piekłem dorazu zabawi.
Więc gdzie sokoli, gdzie rozum żurawi?

„Ot! tfu do licha! Wszystko w zęby czartu!
Coś gdzieś się szczycą, że to wiek żelazny;
Drogi z żelaza — a ludzie bez hartu —
Ot! tfu do licha! nudzą mnie te błazny!

„Wolałbym, wołał ja po drogach błoto
Niż w sercu ludzkiem — aby człowiek kował
Żelazo duszy i stał w życiu cnotą,
A drogi boże i prawdy zachował
I znanym szlakiem jeździł po staremu,
A wzorem ojców opędzał się złemu“...

I znowu patrzał w ognisko ponuro.
A w tem coś w grabach porwało się górą:
Więc powstał czujnie i patrzy i słucha,
Lecz nic nie widać — wkoło puszcza głucha —
„Może coś padło?“ — więc po ziemi szuka
I wstrząsł się nagle — ha, to trop borsuka!
„Po co tam chodzisz?“ — nieraz żona prawi —
„Co waść tam robisz w tym mszarnym ostępie?“
Jak tu nie bywać, gdzie bursuk rad bawi?
Kiedy się w duszy zatrapię, zasępię,
Tylko mrok puszczy duszę rozweseli;
I to ognisko gdy płomieniem strzeli,
To się człek puszczy i ciszy wyżali,
I coś go trąci i coś go pocieszy,
I grab nareszcie stary go rozgrzeszy,
I w końcu Boga w cichości pochwali...

„Borsuk — uczciwiec! nie kradnie, nie kłamie
I całą zimę prześpi sobie w jamie. —
Gdyby to człowiek mógł przespać złe losy
I ze snu wówczas dopiero się zbudził,
Gdy słońce szczęścia obejdzie niebiosy,
Toby się nużdą złych losów nie nudził.

„Po co tam chodzisz?“ — Dobrze to jejmości
I gadać sobie! bo ma dom dla siebie —
Dla mnieby trzeba już — pociechę w gości
Spuścić tam z nieba — to żyłbym przy chlebie.

„Po co tam chodzisz?“ — a gdzież się podzieję?—
Jak świat szeroki diabeł plewą sieje
I wszystkim oczy zasypał i chłuzdy;
I wszyscy mówią, że w świat płyną z wiekiem,
I że tak pięknie, bo diabeł bez uzdy,
Że lekko wiezie i bezpiecznie niesie;
Więc gdzież staremu być w końcu i człekiem,
Jak nie przed Bogiem, albo jeszcze w lesie?“

* * *

Tu pies nas zdradził — zatajonych w głogu,
Pies nie miał szczekać — bo pies ma być karnym;
A więc i koniec tego monologu
I prawd ukrytych w tym ostępie mszarnym...

Wincenty Pol.

Dymitr Samozwaniec i Maryna Mniszchówna.

(Dokończenie).

Dymitr ciągnął powoli, ale pochód jego był nad spodziewanie szczęśliwy. Wszystkie grody po drodze otwierały mu dobrowolnie bramy, na każdej prawie stacyi zachodziły mu drogę deputacye, niosąc chleb i sól i prowadząc zakutych w łańcuchy namiestników Borysa. Dopiero przed Nowogrodem Siewierskim spostrzeżono, że Godunow panuje jeszcze. O mury twierdzy nowogrodzkiej rozbiły się szturmy Samozwańca i jego sprzymierzeńców. Znużeni długiem oblężeniem Polacy opuścili Dymitra, którego położenie pomimo kilku zwycięztw, odniesionych w otwartem polu, nagle bardzo się pogorszyło. Ale Dymitr nie stracił odwagi i nadziei, a jego podziwienia godna przytomność umysłu i energia nie opuściła go ani na chwilę. Zdradzony przez Zaporożców, przekupionych złotem Borysa, rzucił się do Putywla i z garstką ludzi, którzy mu pozostali wiernymi, gotował się do rozpaczliwej obrony. Wspaniałomyślność, z jaką obchodził się z więźniami, a nawet ze szpiegami i skrytobójcami, nasyłanymi nań przez Borysa, jednała mu serca i przechylała znowu powoli szalę na jego stronę, podczas kiedy przeciwnie okrucieństwa, jakich dopuszczał się podejrzliwy Borys, podkopywały coraz bardziej sprawę cara. Szczęśliwy przypadek rozstrzygnął wreście wątpliwy los walki; śmierć przyszła w pomoc śmiałemu Samozwańcowi, zabierając d. 13. kwietnia 1605 roku Borysa ze świata. Kler grecki, urzędnicy dworu i strelice osadzili wprawdzie zaraz na tronie syna Borysa Fedora, ale cała czerń ludu moskiewskiego tylko z największą niechęcią uznała nowego cara. W samej stolicy przygotowywało się powstanie, do którego podburzali tajni ajenci Dymitra. Tymczasem przyszła straszna dla Fedora wiadomość, że w obozie pod Kromą Basmanow, najdzielniejszy dotąd obrońca cara, wraz z księciem Galiczynem i całą armią uznał Dymitra prawym następcą tronu i przeszedł na jego stronę. W kilka dni potem stanęli u bram Moskwy wysłańcy Samozwońca, Puszkin i Pleszczejew, z manifestem ogłaszającym powszechną amnestyę. Tłum ludu otoczył ich, bojarzy przelęknieni odstąpili Fedora i całą Moskwę ogarnął pożar buntu. Fedora i całą jego rodzinę pojmano i uwięziono w domu, który niegdyś zamieszkiwał Borys, nim jeszcze został carem. Dymitr odniósł stanowcze zwycięztwo, bramy Kremlinu stały otworem na jego przyjęcie.

Dymitr nie pospieszył jednak zaraz do stolicy. Miał tam bowiem jeszcze wielu nieprzyjaciół, których pierwej chciał usunąć z drogi, aby przybywszy sam do Moskwy, mógł już tylko zdroje łask rozlewać. Było to wyrachowanie bardzo mądre. Wszyscy przeciwnicy Dymitra i ludzie wątpliwej wiary, albo położyli głowę pod miecz katowski, albo poszli na wygnanie w odlegle prowincye wschodnie, a wszystko to dokonano nie w obecności nowego władcy, jakoby bez jego woli i przyczynienia się. Dopiero gdy tak powiernicy Dymitra oczyścili stolicę, wyruszył sam Samozwaniec, kazawszy się przedtem przez uroczystą zaprosić deputacyę, do stolicy carów. Dnia 20. czerwca 1605 roku odbył wjazd tryumfalny do Moskwy, otrzymał koronę w cerkwi kremlińskiej i odwiedziwszy grób Iwana Groźnego, ojca swego, jak mówił, ujął silną ręką ster rządu.

Dymitr dotarł do celu swych życzeń, i w rzeczy samej Moskwa nie miała bynajmniej powodu uskarzać się na nowego panującego. Młody, odważny, energiczny, przejęty ideami postępowemi, przystępny i uprzejmy w obejściu, powinien był nowy car pozyskać powszechną miłość swoich poddanych. Ale niestety Dymitr zbyt pospiesznie rzucił się do reform i chciał do razu zmienić i pchnąć na nowe tory, co zwyczaj wiekowy robił nietykalnem w oczach Moskalów. Cały dwór przybrał odmienną postać: stare przepisy ceremonii, otaczającej cara półboską czcią, zostały zniesione; młody car, otoczony cudzoziemcami, szczególnie ukochanymi Polakami, przechadzał się sam, bez świty po ulicach Moskwy, zaglądał do warsztatów i fabryk, do domów bogaczów i do chat ubogich, sprowadzał rzemieślników i artystów, wszystkiem sam się zajmował, o wszystkiem chciał wiedzieć i wszystkiem kierować podług własnej myśli i woli. Dumni bojarzy, patrzący zdziwieni na nowy porządek rzeczy, co chwila słyszeli z ust cara bolesne wyrzuty. „Jesteście dzicy barbarzyńcy, jedźcie za granicę i uczcie się“ — powtarzał on im raz po razu, stawiając przytem na przykład nienawistną Moskwie sąsiadę Polskę. Tak choć reformy były istotnie zbawienne, choć Dymitr okazał się w całem tego słowa znaczeniu godnym tronu, który sobie przywłaszczył, ale nowatorstwo, zbyt nierozważnie i skwapliwie zaprowadzane, zraziło ku niemu szybko umysły, a nieskrupulatność jego w sprawach wiary, protegowanie Polaków i postanowienie osadzenia na tronie katoliczki i Polki, podkopały jego stanowisko i ułatwiły tajnym nieprzyjaciołom uknucie spisku na strącenie go z tronu. Rozwijając olbrzymi plan zwrócenia wszystkich sił swojego państwa przeciwko Tatarom i Turkom i zniesienia w przymierzu z Polską potęgi ottomańskiej, nie czuł młody car, że w samej Moskwie ziemia zaczynała drzeć pod jego nogami, że pod jego bokiem gotował się straszny bunt, na którego czele stał Wasyl Szujski.

Wśród przygotowań do wielkiej wojny, wśród ćwiczeń wojskowych, ściągania wielkiej armii pod stolicę i rozlo-

kowywania drugiej nad Oką, nie zapomniał car o pozostawionej w Polsce narzeczonej. Jakoż zaraz w kilka tygodni po objęciu tronu wyprawił Dymitr posłów z bogatymi upominkami do króla Zygmunta III. i do pana wojewody. W poselstwie był Polak Buczyński, zręczny i przebiegły człowiek, i młody kanclerz carski Afanazy Własiew. Wymaganie tytułu cesarza dla cara było powodem, że Zygmunt III. pomimo obiecywanej pomocy przeciwko Szwedom i pomimo zabiegów nuncyusza chłodno przyjął poselstwo i nie wyświadczył mu takich honorów, jakich car wymagał. Za toż u Mniszcha, ściganego pozwami sądowymi, przynoszący 200.000 florenów i bogate dary poseł carski tem przychylniejsze znalazł przyjęcie. Zygmunt III. pomimo nietajonej niechęci ku Dymitrowi, której dotkliwe dowody dawał posłowi jego, zezwolił wprawdzie na wydanie córki wojewody za cara, ale nie pozwolił odprawić ślubu przez prokuratoryę ani w katedrze, ani też na zamku, i przeznaczył na ten akt dom prostego kupca florenckiego Montelupi. Obrzęd odbył się jednak z największym przepychem, a wyprawionym na dworze świetnym balem przejednał król obrażonego posła i uszczęśliwił Mniszcha i piękną Marynę, która jaśniała w tym dniu całym blaskiem urody i bogactwa, jako caryca, mająca wkrótce zasiąść na kremlińskim tronie.

Ale ani caryca, ani jej ojciec, jakoby złowrogiem wstrzymywani przeczuciem, nie spieszyli do tego tronu. Trzy miesiące upłynęło od odprawionego w listopadzie ślubu, nim Mniszech zniewolony naleganiem zięcia zdecydował się w końcu wybrać w drogę do Moskwy. Ogromnym dworem, złożonym z 1500 osób, zbrojno i strojno, z mnóstwem karet i bryk pakownych, wyruszył wojewoda z córką carycą w podróż w początkach r. 1606. Skoro przekroczyli granicę carstwa, spotkali czekających już na nich od trzech miesięcy wysłańców Dymitra. Wszystko po drodze było przygotowane na jak najświetniejsze przyjęcie małżonki cara. Ale pomimo wszelkich możliwych ułatwień, pomimo poprzecinanych nowych dróg, pobudowanych nowych mostów, postępowano bardzo powoli, i zaledwie po trzech miesiącach stanął olbrzymi tabor carycy, powiększony w dwójnasób przyłączeniem się doń posłów królewskich z ich świtą, w pobliżu stolicy. Mniszech pospieszył przodem i przyjęty został wspaniale przez cara wraz z posłami królewskimi. W kilka dni potem, dnia 12. maja 1606 roku, odbył się solenny wjazd carycy Maryny do Kremlinu, i cała stolica zabrzmiała dźwiękiem godowych festynów, uczt, bankietów i igrzysk. Nie mogę tu się rozwodzić z opisem tych godów carskich, w których przepych wschodu mieszał się dziwnie z prostactwem barbarzyńskich Moskalów. Szczupłe ramy niniejszego opowiadania zmuszają mię spieszyć ku końcowi. Ciekawego szczegółów czytelnika odsyłam więc do pięknej, z powieściową lekkością i życiem napisanej książki p. Prosp. Mérimée: „*Les faux Demétrius*“. Carstwo biesiadowali na wulkanie, którego podziemnych grzmotów baczne ucho mogło dosłyszeć, ale nie słyszał ich upojony szczęściem i wielkością swych planów Dymitr. Zjechanie Maryny tak licznym i strojnym dworem, jakoby na wyprawę wojenną a nie na gody weselne; zbytki, jakich się dopuszczała butna szlachta ze świty carskiej i poselskiej, okazująca przy każdej sposobności, że Moskale jej zawdzięczają swojego cara; nieuniknione spory pomiędzy Polakami a Moskalami; lekceważenie, jakie pierwsi okazywali prawosławnym obrzędom religijnym, to wszystko nastręczało naczelnikom spisku pożądaną sposobność do podniecenia nienawiści ku carowi nowatorowi, do wmówienia w ciemny tłum, że Dymitr zamierza z pomocą Polaków wymordować wszystkich prawosławnych i zaprzedać Moskwę królowi polskiemu. Właśnie w tej chwili, kiedy Wasyl Szujski rozsiewał wieść o zaprzedaniu Moskwy Polakom przez cara, dążył Dymitr do zerwania oficyalnych stosunków z Polską, i obchodząc się z jak największą względnością z Polakami, którzy z dobrej woli jako goście lub prywatni sprzymierzeńcy jego na dworze jego bawili, występował z coraz wybredniejszemi pretensyami do posłów króla Zygmunta. To go jednak nie uratowało. Rozdrażnienie rosło co chwila. Szujscy i prawie wszystko bojarstwo bawiące w Moskwie, podlewali ciągle oliwy do ognia, w czem im dzielnie dopomagała cerkiew prawosławna, nieufająca prawowierności cara. Symptomaty grożącego buntu były widoczne. Polacy i Niemcy z gwardyi przybocznej ostrzegali Dymitra, ale car lekceważył sobie ostrzeżenia i żadnych na wypadek zamachu nie chciał zarządzić środków bezpieczeństwa.

Dymitr był zanadto pewnym, że Moskale lepszego nadeń nie znajdą cara, w czem miał poniekąd słuszność, i na tem utwierdzał swoje bezpieczeństwo. Ale Dymitr miał jeden wielki błąd, nie umiał mordować i krwi przelewać, jak jego mniemany ojciec Iwan Groźny, i to go zgubiło; zdemoralizowana dziką tyranią Iwana i okrucieństwem hipokryty Borysa Moskwa potrzebowała bowiem takiego cara, którying się jej przypominał codziennie nowemi egzekucyami. W nocy z d. 26 na 27 maja wybuchł straszny bunt i zastał Dymitra nieprzygotowanym zupełnie, śpiącym spokojnie pod zwykłą strażą kilkudziesięciu zaledwie gwardzistów niemieckich, uzbrojonych tylko w halabardy. Rozjuszony potwarczemi pogłoskami, rozsiewanemi przez Szujskich, motłoch stołeczny, przepełnił podwórce Kremlinu i wdarł się do pokoi carskich. Zbudzony Dymitr ze szpadą w ręku stawił czoło wściekłej czerni i bronił się jak lew. Dopiero przekonawszy się, że wszelki opór był daremny, chciał ratować życie ucieczką i wyskoczył przez okno. Skok był nieszczęśliwy; złamał nogę i bez przytomności został na placu. Kilku strzelców chciało go bronić, ale w końcu musieli ustąpić przemocy. Oszołomiona przelaną krwią czerń zamordowała go i w najokropniejszy

sposób pastwiła się nad trupem, którego nakoniec Szujski na jednym z głównych placów wystawić kazał na widok publiczny, aby każdy mógł się przekonać, że Samozwaniec zamordowany został istotnie. Z Kremlinu rzuciły się tłumy na domy, w których mieszkali Polacy i straszną pomiędzy nimi wyprawiły rzeź. Tylko ci ocaleli, którzy z posłami polskimi i Mniszchem zamknęli się w owarowanym gmachu w pobliżu Kremlinu. W ośm dni po tej rzezi ogłosili należący do spisku bojarzy Wasyla Szujskiego carem, który pozostałych przy życiu Polaków porozsyłał na więzienie wgłąb Moskwy. Po dwutygodniowem używaniu roskoszy panowania strąconą została Maryna z tronu do więzienia, w którem ją Szujski wraz z ojcem jej pod silną osadził strażą.

Ale Moskwa nie miała odtąd długie lata zaznać pokoju. Krwawa praca wydała krwawy plon. Daremnie Szujski wystawieniem zwłok Dymitra na placu publicznym chciał zrobić niepodobnem wystąpienie nowego Samozwańca. Zaledwie pokaleczone do niepoznania zwłoki nieszczęśliwego cara pochowano na wiejskim cmentarzu za murami stolicy, a już jakieś dziwne wieści poczęły krążyć pomiędzy ludem. Znaleźli się tacy, co utrzymywali, że widzieli, jak Dymitr z trzema towarzyszami uszedł ze stolicy i że zamiast niego ktoś inny padł ofiarą; inni opowiadali o nadprzyrodzonych zjawiskach nad grobem zamordowanego cara. Pewnego dnia znaleziono grób odkopany i zwłoki Dymitra wywleczone w przeciwny koniec cmentarza. Dziki a zabobonny Szujski kazał je spalić, popioły nabić w działo i wystrzelić w stronę ku Polsce. Dymitr jak fenix odrodził się z popiołów.

Prowincye południowe nie chciały uznać nowego cara i podniosły rokosz przeciwko mordercom Dymitra. Kniaź Szachowski stanął na czele buntu, któremu w pomoc przybył Jan Zarucki, ataman kozacki, z oddziałem Zaporożców. Wybuchła nowa wojna; zwycięztwo chyliło się już na stronę Szujskiego, gdy w tem pojawił się nowy Samozwaniec, wydający się za Dymitra po raz wtóry cudownym sposobem od śmierci uratowanego. Wkrótce tłumy łatwowiernego ludu zbiegły się pod sztandar drugiego Samozwańca, którego siły wzmocnili przybywający z Polski ze swojemi rotami Jan Sapieha, Roman Rożyński, i kilku innych przedsiębiorczych, rycerskich awanturników, których rokosz Zebrzydowskiego i konfederacye wojskowe popchnęły na drogę szukania łupów w czyjejkolwiek służbie. Szujski zadrżał. Dnia 11 maja 1608 wojsko jego zostało na głowę pobite i Samozwaniec rozłożył się obozem o kilkanaście wiorst od stolicy w Tuszynie. Chcąc uzyskać u Zygmunta III. odwołanie polskich sprzymierzeńców Samozwańca, uwolnił Szujski uwięzionych Polaków. Mniszech, złożywszy przysięgę, że przeciw carowi oręża nie podniesie, został pod eskortą wraz z Maryną wyprawiony do granicy polskiej. Ale po drodze wysłany z obozu tuszyńskiego oddział Kozaków rozbił eskortę Szujskiego i uprowadził Mniszcha i Marynę do Tuszyna. Los Samozwańca spoczywał teraz w rękach byłej carycy. Z Polaków służących temu drugiemu Dymitrowi żaden nie wątpił, że był on prostym szalbierzem, niepodobnym w niczem do pierwszego Dymitra, nie umiejącym nawet odgrywać roli, którą wziął na siebie. Służyli jego sprawie tylko w nadziei łupów, z zamiłowania w awanturniczych wyprawach, z nienawiści ku Moskalom, mszcząc się za wymordowanych w Moskwie rodaków swoich. Rożyński i Sapieha poniewierali nim jak najpodlejszym pachołkiem. Mniszech odrzucił też z pogardą propozycyę uznania go zięciem swoim, ale Maryna wiedziona szaloną dumą, pod warunkiem wzięcia tajemnie ślubu, uznała Samozwańca mężem swoim, prawdziwym carem Dymitrem. Ojciec wyrzekł się córki i zerwawszy z nią odtąd wszelkie stosunki powrócił do Polski, aby zakończyć w zamknięciu przed światem pełne przygód życie.

Z carycy została Maryna spólniczką zuchwałych planów barbarzyńcy, który był tylko narzędziem swawolnych i chciwych łupu awanturników. Rzecz oczywista, że sprawa takiego człowieka nie mogła się utrzymać, pomimo że jej przeciwnikiem był niedołężny, okrutny i przez znaczną część narodu znienawidzony Wasyl Szujski. Jakoż pomimo zdumiewającej energii i czynności Maryny przechyliło się wkrótce zwycięstwo na stronę Szujskiego i stanowisko Samozwańca zostało zachwiane. Wtem wstąpił na krwawą widownię dziejów rozrywanej wewnętrzną wojną Moskwy nowy, potężny szermierz, i rzeczy wzięły inny zupełnie obrót. Polska, która dotąd tylko przez samowolę swoich panów wplątana była w sprawy Dymitrów, wystąpiła teraz jako państwo, żeby rozstrzygnąć orężną interwencyą losy zawichrzonego carstwa. Zygmunt III., zachęcony przez poselstwo bojarów, którzy znużeni wojną bez końca ofiarowali tron carski królewiczowi Władysławowi, byle tylko król polski przywrócił pokój ich ojczyźnie, oblęgł Smoleńsk w r. 1609, a wkrótce potem wyprawił Stanisława Żółkiewskiego, hetmana w. k. do Moskwy, który po odniesionem walnem zwycięztwie pod Kłuszynem zajął stolicę, Wasyla wziął w niewolę i elekcyę Władysława na cara przeprowadził. Rożyński nakłoniony przez Żółkiewskiego odstąpił Samozwańca, który pokłóciwszy się z Sapiehą, uszedł do Kaługi. Maryna konno wśród najsroższej zimy po daremnych wysileniach, aby utrzymać obóz tuszyński, pospieszyła za swoim mężem. Ale ziemia usuwała się jej z pod nóg. Samozwaniec oddany rozpuście i mordowaniu ofiar, które dostały się w jego ręce, zginął zabity zdradziecko przez chana Tatarów, byłego sprzymierzeńca swojego. Maryna wkrótce potem powiła syna, którego nazwano na chrzcie Iwanem, a opiekunem jego i protektorem ogłosił się Zarucki. Szczupła garstka wiernych carycy Kozaków nie mogła utrzymać się w Kałudze, i dumna

Maryna poszła z dziécięciem swojem i z Zaruckim wieść życie tułacze w dzikich stepach naddońskich i nadwołżańskich, po obozowiskach kozaczych. W tem odludziu na pograniczu Azyi straciła historya na lat cztery jej i Zaruckiego ślady. Można się jednak domyślać, w jakich ciężkich przygodach, jak ciernistą drogą wiodło się ich życie przez ten przeciąg czasu.

Tymczasem odzyskała Moskwa długo upragniony pokój. Niedołęztwo, chwiejność i bigotyzm Zygmunta III. zmarnowały owoce świetnych czynów orężnych wielkiego Żółkiewskiego. Polacy musieli Moskwę opuścić, i na tron carski wyniesiony został dnia 3. marca 1613 Michał Romanów, protoplasta panującej obecnie rodziny carskiej.

Nowy car zabrał się energicznie do przywrócenia porządku w kraju i do stłumienia ostatnich iskier buntu, które Maryna i Zarucki rozdmuchywali nad Donem. Po daremnych usiłowaniach podburzenia Kozaków dońskich, poniósł Zarucki z garstką wiernych sobie Zaporożców klęskę w pobliżu Woroneża i uszedł do Astrachanu w nadziei ufortyfikowania się tamże. Wyparty ztamtąd tułał się z nieszczęśliwą Maryną i jej synem nad morzem Kaspijskiem, kryjąc się po jaskiniach i stepowych zaroślach, aż wreszcie w lipcu r. 1614 wpadł w ręce wodzów moskiewskich wraz z Maryną i swoim pupilem. Sprowadzony do Moskwy, skazany został na śmierć przez wbicie na pal; Iwana uduszono, a Maryna wtrącona do więzienia umarła w podziemnej ciemnicy, zapomniana nie tylko od współrodaków, lecz nawet od własnej rodziny, oddając życie w ofierze bezgranicznej dumie i żądzy carskiej korony.

Lucyan Tatomir.

PAJĄKI.

Co to za brzydkie stworzenie! — ciało grube, bure, niezgrabne, na tak cieńkich, długich, kosmatych nogach. Precz z pająkiem! — weźmy się do szczotki, aby poobmiatać te szmaty pajęczyny, której znów tyle namnożyło się po kątach.

Oto zwykłe wyrażenie odnoszące się do tych owadów, które bez względu na ścigające je odrazę i prześladowanie tulą, przywiązują się nawet do domów ludzkich. Zdaje się, jakby miały na celu nie tylko uwolnienie ich mieszkań od much dokuczliwych, ale może i zwrócenie uwagi lekkomyślnych na osobliwość swego ustroju, na wytrwałość, oględność, dowcip prawie w delikatnej a mozolnej swojej pracy, w tak pogardzanej pajęczynie.

W najodleglejszej starożytności zastanawiano się już nad pająkami. Legenda mówi, że kiedy król Dawid doznawszy porażki od wojska krnąbrnego syna swego Absalona, uciekał przed ścigającą go pogonią, ujrzał obrosłą gęsto roslinami pieczarę, i schronił się do niej. Zaledwie ukrył się w najgłębszym zakącie, gdy pająk wykonując zapewne powzięte postanowienie, zaczął snuć przędzę swoję i przytwierdzać ją do ścian wejścia do groty w ten sposób, że cieniuchne nici zamknęły wkrótce cały otwór przejrzystą siatką. Zaledwie ta praca dokonaną została, nadbiegli ścigający króla żołnierze; spostrzegli grotę, ale dojrzawszy zarazem i pajęczynę rzekli: O tędy dawno nikt nie przechodził, patrzcie jak gęsta pajęczyna zasłania cały otwór... i pobiegli dalej, a ukryty Dawid ocalał.

Salomon, znakomity z mądrości, nazywał pająki malutkiemi, lecz bardzo mądremi stworzonkami. Grecy zaś starożytni, podziwiając przymioty pająka, taką powieścią uświetnili jego pochodzenie:

— Arachne, córka króla frygijskiego, miała się odznaczać nadzwyczajną zręcznością i biegłością w przędzeniu; sława jej, rozniosłszy się daleko, doszła aż do Olimpu i o uszy Minerwy, bogini mądrości, nauk i kunsztów obiła się. Wiedziona ciekawością Minerwa, chciała się naocznie o prawdzie przekonać, i w tym celu, w postaci starej niewiasty, zjawiła się w komnacie, gdzie właśnie pracowała Arachne, wyzywając ją do przędzenia na wyścigi. Księżniczka przyjęła wyzwanie, wytężyła całą zdolność swoję, i wnet przędziwo ziemianki przewyższyło pięknością dzieło bogini, która już miała uznać słuszność pogłosek, gdy nieoględna królewna, poznawszy mimo przebrania Minerwę, głośno ostrzegła Jowisza o samowolnem zstąpieniu jego córki na ziemię i o zwycięstwie, jakie nad nią ziemska dziewica odniosła. Rozgniewana Minerwa uderzyła rószczką Arachne, i przemieniła ją...... w pająka, który odtąd u Greków nazywać się zaczął arachne.

Dowcipna ta bajka wskazuje, że kiedyś tkactwo, uważane za sztukę, musiało być bardzo cenione, kiedy zajmując rączki królewnej zazdrość bogini kunsztów wzbudziło. Dziś tkactwo zmieniło się na proste rzemiosło; i my także porzucimy poezyę, a z prozaicznej strony rozpatrywać będziemy te zwierzątka, jak przez długie wieki zapatrywali się na nie badacze cudów przyrody, śledząc początkowo szczegółów ich postaci, następnie ich obyczajów, a w końcu za wynalezieniem drobnowidzów rozbierając wszystkie części zadziwiającej budowy tego

owadu, równie jak narzędzi służących mu do pracowitego życia.

Za pomocą to mikroskopu doszliśmy do znajomości tych cudów natury, niedostępnych gołemu oku, które w najmniejszej istocie wykazują mądrość i zabiegliwość natury. Wszystko co żyć ma, posiada potrzebne a właściwe ku temu narzędzia; ich rozmaitość jest tak wielka, że życie całych pokoleń ludzkich nie wystarcza na ich poznanie; jednak, choćby z małą cząstką ciała jakiego bądź owadu, można pod drobnowidzem bardzo zajmujące otrzymać widowisko. Szara powierzchnia pokaże nam się pokrytą kształtnemi prążkami i wzorami; kosmate nogi wyglądają jak szczoteczki, których każdy włosek policzyć można; śliczne kolory okażą się tam, gdzieśmy się ich najmniej spodziewali, a błonka skrzydełka muchy lub komara wydaje się cudną przezroczystą tkaniną. Takim to sposobem poznano i w pająkach wszystkie przyrządy, potrzebne im do łowienia zdobyczy, żywienia się nią i wysnuwania z własnej istoty tej delikatnej przędzy, która mu służy za siatkę do chwytania w nią skrydlatego łupu.

Gromada pająków składa się z istot wiele mających podobieństwa z owadami, lecz można rozróżnić je zaraz na pierwszy rzut oka po ogólnej postaci ciała i liczbie nóg, a zresztą różnią się one od owadów wielu szczegółami w wewnętrznej swojej budowie.

W rzeczy samej wszystkie pająki mają głowę zrosłą z tułowiem, i pozbawione są rożków czyli macek, właściwych wszystkim owadom; mają cztery pary nóg, a nigdy nawet śladu skrzydeł, nakoniec oddéchają zazwyczaj organami do płuc podobnemi, chociaż niektóre gatunki dychawkami, i mają przyrząd krążenia krwi, to jest, posiadają serce, tętnice i żyły.

Ciało ich składa się z trzech części: głowy, jakeśmy mówili spojonéj z tułowiem, i to się zowie głowotułowiem (cephalothorax), i z trzeciej złożonej już to ze stawowatych oddzielnych pierścieni, jak n. p. u niedźwiadka, już z jednej masy miękkiej, kulistej i bez wyraźnych działów, jak n. p. u ptasznika. Ta część zowie się odwłokiem (abdomen). Nogi, bardzo podobne do nóg owadów, wszystkie są przyczepione do głowotułowia, i prawie zawsze kończą się dwoma chwytnemi szponami; długość zaś ich jest stosunkowo do całego ciała zazwyczaj znaczna, często nieproporcyonalna. Z łatwością nogi te oderwać można, co zresztą bacząc na ich filigranową budowę nie byłoby dziwnem, gdyby nie ta własność, że po oderwaniu w krótkim bardzo czasie nanowo odrastają. Powtórna taka kończyna, jakkolwiek na pozór nie różniąca się od pierworodnych, nie jest jednak tak mocną, kształtną i sprężystą.

Dodać należy, że odwłok, zajmujący większą połowę objętości pająka, z głowotułowiem połączony jest tylko za pomocą rurkowatego przegubu, przez który tylko między temi dwoma częściami istnieje wewnętrzna komunikacya.

Na przedniej części tułowia, którą nazwać możemy głową, znajdują się gęba i oczy. Tych ostatnich bywa zazwyczaj ośm, w rozmaity sposób ułożonych. W każdem oku, choć takie małe, rozróżnić można przezroczystą rogówkę, za którą leży soczewka i ciało szkliste, dalej siatkówka utworzona z rozgałęzienia końca nerwu optycznego i powłoki materyi koloryzującej. Nie wiemy nic jeszcze o narzędziach słuchu u pająków, lecz są liczne dowody istnienia u nich tego zmysłu, zdaje się nawet, że niektóre z nich nie są obojętnemi na dzwięki muzyki. Dotykanie uskutecznia się głównie końcami nóg i przysadkami, któremi pyszczek jest opatrzony.

Pająki są zwierzętami drapieżnemi, ale zazwyczaj poprzestają na wysysaniu soków zawartych w ofiarach swej drapieżności; ażeby im ułatwić pokonywanie istot silniejszych, natura niektórym dodała przyrząd jadowitego kąsania. Wiele z nich żywi się owadami, które żywcem chwytają, i te mają pyszczek opatrzony parą żuwaczek, (szczęk) uzbrojonych ruchomymi hakami. Inne pająki posiadają żuwaczki ukształcone w formie kleszczy, jak to widzimy u niedźwiadka. Pasożytne zaś zwierzątka, należące do tej gromady, wpijające się w ciała zwierząt ssących, mają pyszczek wydłużony nakształt trąbki, z której wychodzi rodzaj lanceciku, ze szczęk utworzonego.

U pająków chwytających żywą zdobycz, ruchomy hak żuwaczek ma blisko wierzchołka szczupły otwór, będący ujściem kanału od gruntu jad zawierającego, i tym to otworem wydostaje się na zewnątrz jad, który zapuszczony w ranę pociąga prawie natychmiast za sobą umorzenie upolowanych owadów. Nadto jednak jest słaby, ażeby mógł człowiekowi szkodzić, i dlatego niesłusznie wiele osób nabrzmnienie albo czerwoność ukazującą się niekiedy na skórze naszej przypisuje ukąszeniu pająków.

Pająki niosą jaja jak owady. Wielka ich liczba ościela jaja oprzędem jedwabistym, sobie właściwym. Niekiedy matka pielęgnuje swoją rodzinkę, trzymając ją przy sobie, nawet piastuje na grzbiecie dzieci, gdy są jeszcze zbyt słabe, ażeby chodzić mogły, i otacza je najczulszą opieką i troskliwością. Pajączki tymczasem rosną, ale nim dojdą zupełnie dojrzałego wieku, po razy kilka linieją, a niektóre odbywają gatunek przemiany, bo nie mając z początku tylko trzy pary nóg, w dalszym wieku nabywają czwartą. Co do zmyślności, ta czasem nie mniej bywa zastanawiającą jak u owadów, niekiedy nawet wypadałoby przyznać im bardziej rozwinięte zdolności, gdyż zdarzało się, że pająki dając się czegoś nauczyć, okazywały pewien stopień pojętności.

Naturaliści podzielili pająki na kilka działów, stosując się do różnic zachodzących w budowie ich odwłoka jako też organów, jakiemi te zwierzęta oddéchają.

Podział ten jest następający:

1) Członko-odwłokowe, mające odwłok stawowato ułożony.

2) Pająki właściwe, czyli oddéchające płucami i mające odwłok kulisty, miękki, na którym nie znać podziałów.

3) Pająki dychawkowe, oddéchające dychawkami czyli otworami, leżącemi po obu bokach odwłoka, jak to widzimy również u wielu owadów.

4) Bezoddechowe, nie mające organów oddéchania należycie wykształconych, i które, o ile się zdaje, przez powierzchnię skóry powietrze wciągają.

Warto jest poznać zwyczaje i charaktery niektórych gatunków, i dlatego przedstawiające wybitniejsze cechy tej gromady opiszemy szczegółowo. I tak do pierwszego działu należy:

Skorpion czyli niedźwiadek, którego odróżniamy dwa gatunki. Pierwszy europejski, żyjący w południowych krajach Europy; ukłucie jego szkodliwem jest dla drobnych zwierzątek, ludziom jednak nie zagraża żadnem niebezpieczeństwem; kiedy przeciwnie drugi większy, tak zwany afrykański, strasznym jest tak dla ludzi jak również i zwierząt; długość jego 6 cali, z powierzchownością podobnym jest do zwyczajnego raka; tułów ma bardzo krótki i nie widać spojenia z odwłokiem, który wydłużony, przedstawia kształt ogona, złożonego z sześciu cząstek, stawowato po sobie następujących. Obydwa gatunki opatrzone są dla zabijania zdobyczy i bronienia się przed napaścią jadowitym szponem, zakończającym odwłok niedźwiadka. Przy zaostrzonym końcu tego grotu od spodu widzieć się daje kilka otworków, będących w związku z gruczołem jadowym, wewnątrz ostatniej części ogona leżącym.



Niedźwiadek europejski.

Ukłucie niedźwiadka afrykańskiego, jak już wyżej wspomniałem, jest dla ludzi niebezpiecznem a nawet śmiertelnem, jeżeli się nie użyje zaraz środków zaradczych. W Azyi, gdzie także nietrudno spotkać się ze skorpionem, urządzają widowiska, chwytając Tarantulę (o której poniżej mówić będziemy) i lokując ją razem z niedźwiadkiem.

Przytoczymy tu opowiadanie pewnej damy, która na Kaukazie przypadkiem była widzem podobnej zabawy: „Znakomity perski chan — powiada opisująca — przybył z całą swoją familią do Tyflisu i mnie, jako żonie znacznego urzędnika, którego względów potrzebował, z całym przepychem wschodu złożył ceremonialną wizytę. Odwdzięczając się za tę grzeczność, po niedługim czasie odwiedziłam jego żonę. Pominę tu przyjęcie, jakiego doznałam, a przystąpię do opowiadania wypadku, który najbardziej mi utkwił w pamięci.

Siedząc dosyć długo u chanowej, znużona rozmową przez tłumacza prowadzoną, przypatrując się bogatym kobiercom rozwieszonym po ścianach, ujrzałam tuż nad nami ogromnego niedźwiadka. Krzyknęłam — moja gospodyni odwróciła głowę w tę stronę, w którą poglądałam z przestrachem, i w tej samej chwili skorpion usiadł na jej ramieniu.

Zbladła, ale niewzruszona śledziła wzrokiem szybkie ruchy okropnego owadu; wszystkie jej niewolnice bez tchu prawie patrzyły na każde jego poruszenie, żadna jednak nie spieszyła z pomocą. W okropnej obawie patrzyłam na tę niepojętą mi bezczynność w tak przerażającej chwili, bo wiedziałam, że lubo Persowie i Gruzini mają sposoby uleczenia się z jadowitego ukąszenia skorpiona, często ono wszakże o śmierć przyprawia. Dopiero kiedy robak zszedłszy z atłasowej sukni oddalił się o 2 stopy od nóg chanowej, jedna z niewolnic schwyciwszy ze stolika próżną głęboką czarę, przykryła nią niedźwiadka, i gdy ten szukając wyjścia przyczepił się do dna naczynia, przewróciła szybko czarę, a nakrywszy szczelnie pokrywą, postawiła na stoliku.

Pytałam o przyczynę szczególnej obojętności w czasie tak widocznego niebezpieczeństwa; odpowiedziano mi, że skorpion rzadko rani, nie będąc rozdrażnionym, i że najniebezpieczniej jest przeszkadzać mu w biegu; dlatego mieszkańcy tamtych okolic wolą patrzeć spokojnie na skorpiona, łażącego po obnażonej ich ręce, niż najlżejszem poruszeniem drażnić strasznego nieprzyjaciela.

Skorpion ciągle usiłował wyjść ze swego przezroczystego więzienia; z obawą lecz i z ciekawością przypatrywałam się niespokojnym jego ruchom; pierwszy raz widziałam z tak blizka tę groźną istotę. W tem moja gospodyni przypomniała sobie, że wczoraj właśnie schwytano ogromną tarantulę, rodzaj jadowitego pająka, który jest odwiecznym nieprzyjacielem skorpiona. Żona chana wyrzekła kilka słów do jednej ze służebnic, a ta za chwilę przyniosła kryształową również zakrytą czarę, w której uwięziona była tarantula, zbliżyła się do stolika, obejrzała pilnie oba naczynia, i dając znak ręką swojej towarzysze, aby przystąpiła bliżej ze skorpionem, przysunęła zwolna jedną czarę do drugiej. W mgnieniu oka brzękła pokrywa naczynia zawierającego tarantulę, i ta wpadła w naczynie, w którem się skorpion znajdował. Tym sposobem dwaj śmiertelni nieprzyjaciele ze wszystkich stron zamknięci ujrzeli się w miejscu zaledwie 6 cali średnicy mającem. Uważcie, że to wszystko działo się o dwa kroki od nas

i że lada niezręczność niewolnic mogłaby na nas wypuścić dwa najokropniej rozdrażnione jadowite owady. Z przestrachem i litością przyglądałam się tej osobliwej walce; niedźwiadek obracając się zwolna na wszystkie strony, wystawiał groźny swój ogon, a żółto-brunatna z długiemi kosmatemi nogami tarantula, krążąc w koło z nadzwyczajną szybkością, szukała miejsca, gdzieby również bezkarnie mogła zapuścić swoje jadowite haki.

Niewolnice chanowej patrząc na tą walkę, która się w Gruzyi do największych przyjemności liczy, zapomniały na chwilę o zwykłem uszanowaniu dla swej pani, i zbliżając się pomału otoczyły nakoniec stolik, gdzie się ta ciekawa odbywała scena.

Walka skończyła się nareszcie śmiercią skorpiona. Uśmiechnęła się pani domu, niewolnice klasnęły w ręce z okrzykiem radości, a ja pożegnałam moję uprzejmą gospodynię i nie byłam u niej więcej.“

Dodać tu należy, że skorpiony żyją w gorącym klimacie, gnieźdżąc się albo w szczelinach kamieni, lub w wilgotnych miejscach. W czasie wielkich upałów kryją się w mieszkaniach ludzkich z nadzwyczajną trwogą mieszkańców.

Do pająków właściwych, których jest bardzo wiele gatunków, należy między innemi Tarantula, która przez mnóstwo bajecznych o niej powieści głośną się stała. Powiadano, że jej ukąszenie przyprawia ludzi o pomieszanie zmysłów, a nawet sprowadza szaleństwo, i że to uleczonem być może jedynie za pomocą muzyki, która pobudzając w zranionym niezwykłą chęć do tańca, trudem ztąd powstałym moc truciźnie odejmuje.

Jak zwykle w bajkach bywa część prawdy, przekonano się też w końcu doświadczeniem, że ukąszenie, mianowicie w czasie upałów letnich, rzeczywiście sprawiało zapalenie i gorączkę, ale umysłu nie mieszało, ani też do tańca chęci nie wzbudzało. Bajka ta musi być wynalazkiem szarlatanów, którzy udając ten rodzaj szaleństwa, chcieli zjednać sobie u podróżnych politowanie i wyłudzić datki pieniężne jak najobfitsze.

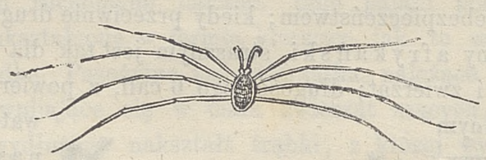
Jak wszystkie pająki w ogóle, tak też i tarantula nie może znieść widoku pająka innego gatunku, tem więc możemy sobie tłumaczyć jej nienawiść dla skorpiona. Żyje w południowych Włoszech, Azyi i Afryce, bywa na cal przeszło długa, gnieździ się w małych jamkach, w ziemi kopanych. Ciało jej kosmate, zaokrąglone, wsparte jest na długich, grubych czarno pręgowanych nogach. Koloru zwykle jest po wierzchu szaro-żółtego, spodem czarna. Nazwa jej pochodzi od miasta Tarentu.

Zdunek, żyjący w południowej Europie, żywi się mrówkami i innemi małemi owadami, których soki wysysa. Ten jest tak leniwy i ociężały, że z głodu zdechłby pewno, gdyby go natura nie nauczyła urządzania zasadzek na zdobycz, której dźwignąć nie zdoła. Zmyślnością wiedziony robi z miałkiego piasku lejkowaty dołek, zagrzebuje się w nim i oczekuje cierpliwie, dokąd jaki owad przechodząc nie wpadnie w tak przygotowaną łapkę; a jeżeli jego ofiara usiłuje umknąć, albo wpadając w dołek zatrzyma się na jego brzegu, wówczas zdunek odurza ją, zapomocą sterczącej w ukryciu główki i żuwaczek, mnóstwem ziarn piasku, któremi spychana zdobycz aż na samo dno lejka spada. Teraz zdunek wysuwa się z ukrycia i ofiarę wysysa. Po ukończeniu uczty nadwerężone ściany lejka skrzętnie naprawia, i znowu ukrywa się w zasadzce, czekając cierpliwie świeżego łupu.



Zdunek.

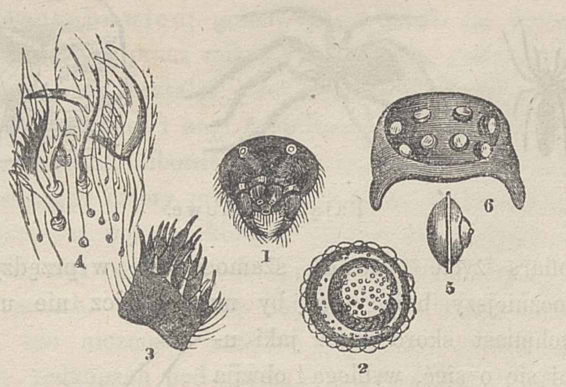
Te trzy powyżej opisane gatunki należą do pająków nieprzędzących, również jaki kosarz, którego często spostrzegamy przyczepionego za pomocą długich cieńkich nóg do murów, drzew lub okiennic. Nogi jego mają tę szczególną własność, że po oderwaniu długo jeszcze drgają. Pająk ten nie posiadając sztuki budownictwa, innym sposobem jak zdunek lub pająki przędzące szukać musi pożywienia. W tym celu skrywa się w szczeliny ścian lub drzewa, i tu oczekuje zbliżającej się muchy lub innego żyjątka, a gdy je spostrzeże, w jednym susie wyskakuje, i jak rabuś niespodziewającą się śmierci istotę napada i hakami swemi zakłuwa. Lecz nie zawsze na sucho rozbój mu taki uchodzi; czasem źle się obrachowawszy z własnemi siłami, napada na silniejsze od siebie stworzenie, a to broniąc się zabija napastnika.



Kosarz.

Daleko ciekawszym jest dział pająków przędzących, z powodu artyzmu, jaki w rozpinaniu sieci okazują. Do tych prócz naszego krzyżaka należą pająki mające pod spodem odwłoka, czyli brzucha, 4ry—5ciu stożkowatych brodawek, przepustnicami zwanych. Brodawki te drobnowidzem badane, przedstawiają mnóstwo otworków, z których sączy się płyn kleisty, a który zetknąwszy się z powietrzem tężeje i tworzy nitki składające przędzę. Za pomocą tylnych nóg, w grzebyki opatrzonych, pająki skręcają te niteczki w jednę grubszą, i tym sposobem większą moc im nadają. Przędza ta służy pająkom zarówno do wyścielania gniazd, obwijania jaj, jak i do robienia siatki. Kolor i grubość nitek są bardzo rozmaite; jeden z pająków amerykańskich robi sieć złożoną z nici czerwonych, żółtych i czarnych razem poskręcanych z zadziwiającą zręcznością. Wyrachowano przytem, że dziesięć tysięcy nitek, wycho-

dzących z brodawek naszych zwyczajnych pająków, nie wyrównują jednemu włosowi końskiemu; gdy tymczasem inne, ciepłym krajom właściwe gatunki, przędą pajęczynę



1. 2. 3. narzędzie do przędzenia, 4. noga, 5. 6. oczy Krzyżaka.

tak mocną, że tą zdolną jest ptaszki zatrzymywać, i że nawet człowiek siły musi użyć do jej rozerwania.

Zawsze misterne a często podziw wzbudzające rozpinanie siatki pajęczej na wielką zasługuje uwagę. Często widzimy pajęczynę nad strumieniem lub między dwoma oddalonemi drzewami rozpiętą. Jakimże to sposobem pająk mógł uskutecznić? Przypuszczano, że ma własność pryskania daleko od siebie kleistą cieczą, i że ta tężejąc tworzy pajęczynę znacznej długości. Tymczasem tak nie jest, gdyż spostrzezono, że pająk obrawszy sobie jeden punkt podpory wysnuwa długą nić, którą na wolę wiatrów wypuszcza. Ta w rozmaite strony pędzona, natrafia nareszcie na jaką podporę, do której się przyczepia i tym sposobem tworzy most dla przejścia pająka.

Nieraz zwierzątko to długo czekać musi na urzeczywistnienie swoich planów, i nieraz kilkakrotnie nić taką wysnuwać jest zmuszone. Lecz pająkom nie brak cierpliwości i chęci do pracy. Nie od rzeczy będzie tu przytoczyć podanie, bardzo rozpowszechnione u ludu szkockiego, a wskazujące, jak dobry przykład nawet przez tak małe jak pająk stworzenie oddziałać może na człowieka.

Robert Bruce, król Szkocyi, żyjący w początku XIV wieku, zostawszy pozbawionym przez Anglików swojego królestwa, napróżno kilkakrotnie używał różnych środków dla odzyskania straconego tronu, aż w końcu odstąpiło go męztwo, i postanowił zrzec się wszelkich nadziei i oddalić się do Ziemi świętej. Gdy siedząc w wiejskiej chacie rozmyślał, jak ma ostatecznie postąpić, pogrążony w myślach podniósł oczy ku pułapowi, i spostrzegł pająka przyczepionego na nici do jednej belki, który bujając w powietrzu usiłował dostać się do drugiej, lecz zawsze bezskutecznie.

Bruce baczniejszą na niego zwrócił uwagę, i gdy sześć niepomyślnych tego zwierzątka pokuszeń naliczył, przyszło mu na myśl, że i on przegrał tyleż bitew z Anglikami; rzekł więc do siebie: „Los tego pająka będzie dla mnie wyrocznią, i jeżeli uda mu się dostać do drugiej belki, wówczas i ja na siódmą wyprawę odważę się; lecz jeżeli stworzeniu temu nie powiedzie się, to opuszczę kraj i do Ziemi świętej się udam.“

Z kolei pająk, ponowiwszy swoje usiłowanie, nić u belki zawiesił. Bruce nabył odwagi nowej, postanowił raz jeszcze losu bitwy spróbować, i po kilkakrotnych zwycięztwach państwem swojem na nowo władać począł. Szkocya znalazła w nim mężnego króla i do najsławniejszych swoich monarchów go liczy. Pomnąc na tę legendę w Szkocyi wiele jeszcze osób i dziś za żadną cenę pająka nie zabije.

Liczne robiono doświadczenia co do zużytkowania tkaniny pająków; i tak np. pan B o n, członek akademii królewskiej w Montpelier, w r. 1709 przedstawił publicznie na posiedzeniu tejże akademii wypadek czynionych prób nad przerobieniem pajęczyny na jedwab, i na poparcie swoich dowodzeń pokazał pończochy i rękawiczki utkane z pajęczej przędzy. Za przykładem Bona wiele osób rzuciło się do hodowania pająków, również w Niemczech, gdzie klimat dla pielęgnowania jedwabników nie jest przyjaźny, bardzo się tą kwestyą zajmowano i chciano jedwabniki pająkami zastąpić. W parę lat potem wyszła w Lipsku broszurka pod tytułem: „Wiadomość o nowym rodzaju jedwabiu przez Piotra Busch, pastora w Hannowerze. Lecz to wszystko nie było dostatecznem do rozwiązania tego zadania. Dla wyjaśnienia więc kwestyi akademia paryzka powierzyła tę zmudną czynność sławnemu R e a u m e r o w i, który jej z właściwem sobie przejęciem się i starannością dokonał. Rezultaty tych badań nietylko nie odkryły wyższości pająków nad jedwabnikami, a to z powodu, że ich wrodzona ruchliwość i częste zmienianie miejsca, a także właściwa drapieżność posunięta u niektórych przędzących do tego stopnia, że jeden drugiego zabija, nie dozwoliły obliczyć, ile przy naturalnym sposobie życia przędzy produkować są zdolne; a oprócz tego przekonał się Reaumur, że pajęczyna za mało ma spójności, aby mogła być z dobrym skutkiem na dalszą przeróbkę obracaną. Tak więc spełzły na niczem nadzieje użycia tego zwierzątka dla korzyści ludzkiej. Lecz może z czasem, tak jak jedwabniki chińskie, co okazały się najlepszemi, znajdą poźniejsi badacze gatunek jaki zaeuropejski, który wynagrodzi daremne mozoły tylu znakomitych ludzi.

W rzędzie tych, że tak powiem artystów, spostrzegamy wiele gatunków różniących się widocznemi między sobą cechami. I tak największy z nich, bo dochodzący 6 cali długości, jest:

P t a s z n i k, mieszkający w Ameryce południowej. Oprócz siatki, która nie odznacza się pięknością i foremnością, zadziwiającą okazuje zmyślność przy budowaniu

gniazda; gdyż jego lepianki nie tylko są obszerne i wygodne, ale nawet przedstawiają się jako dzieło skomplikowanej konstrukcyi. Celem postawienia takiej budowli ptasznik wygrzebuje w gliniastym gruncie walcowatą dziurę, 8 — 10 centimetrów głęboką, i powleka jej ściany mieszaniną wapna z piaskiem, następnie układa na przemian warstwy marglu i pajęczyny, i tworzy z nich wieko odpowiednie otworowi wylepionej jamki, tak jednakże, iż się tylko na zewnątrz otwierać może. Zawiasy, na których chodzi, są to przedłużenia warstewek przędzy, które od jednego punktu na obwodzie drzwiczek spadają aż do rurkowatego gniazda niżej położonego, tworząc tam miękkie wyścielenie, niby w celu dodania temu pomieszkaniu więcej powabu.

Zewnętrzna powierzchnia wieka jest chropowatą i prawie nie różni się od otaczającej ją ziemi, ale wewnętrzna jest zupełnie gładka.

Znany pająk tego samego gatunku, tak zwany Mularz, ma podobnie jak ptasznik urządzone gniazdo, z tą różnicą, że na stronie przeciwnej zawiasom jest szereg dziurek, gdzie w razie napadu, zapuściwszy nogi jednej połowy, a wspierając drzwi nogami drugiej, szczelnie przytrzymuje klapę i tamuje wejście nieprzyjacielowi. Tak ptasznik jak mularz uważają gniazdo tylko za schronienie; pożywienia zaś szukając, pną się po drzewach, i w podobny sposób jak kosarz zdobycz swoję chwytają. Ptasznik jak powiadają, tak jest silnym, że dusi małe ptaszki zwane kolibrami.

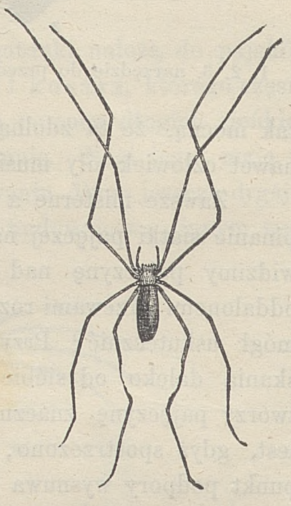
Z naszych pająków najpospolitszemi są:

Krzyżak, z powodu plamek białych na grzbiecie w kształcie krzyża ułożonych tak nazwany; żyje w lasach, piwnicach, stodołach itd. unikając starannie mieszkań ludzkich, czem głównie różni się od pająków domowych. Siecie rozpina w następujący sposób: Zarzuciwszy nić główną w kilku rozmaitych kierunkach przyczepia inne, które obwód całej tkaniny stanowią, a przeprowadziwszy przekątną, ze środka jej wyciąga znaczną liczbę promieni, następnie poczynając od obwodu, nigdy zaś od środka, snuje foremną ślimakowatą linię, która z promieniami tworzy czworokątne oka, coraz to drobniejsze, w miarę zbliżania się do środkowego ogniska, w którem poźniej zasiada, czekając na skrzydlatą zdobycz. W taki sam sposób urządza siecie pająk omatnikiem zwany. Ten nie czeka,



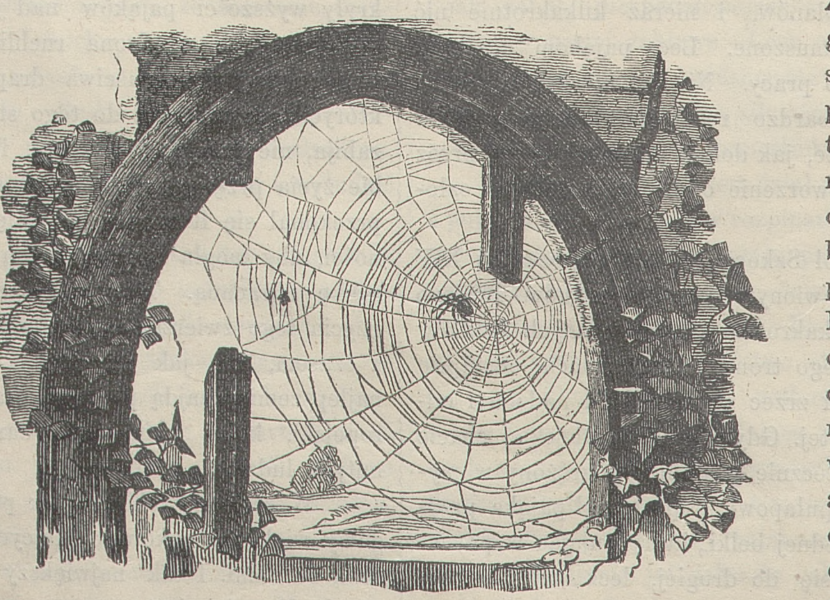
Pająki domowe.

aż ofiara życie postrada szamocąc się w przędzy, lecz żarłoczniejszy bojąc się, by mu zdobycz nie uciekła, natychmiast skoro owad jaki uczepi się o sieć, wybiega i obwija go jeszcze nitką, a nie bojąc się już walki ze skrępowanem zwierzątkiem, hakami go swemi przeszywa.



Omatnik.

Oprócz wielu innych z rodzaju przędzących jest mały pajączek, którego wykrycie wyjaśniło nam początek tak zwanego Babiego lata. Spionek żyje w wielkiej ilości na naszych polach i łąkach, na których w ciepłe dnie jesienne rozciąga srebrzyste nitki. Te porwane wiatrem unoszą się daleko, i często nie napotykając żadnej zapory w swym biegu aż do miast dolatują. Do tego działu należy także Topnik. Żyje on pod wodą, gdzie urządza siecie i siedzibę napełnioną powietrzem, a prócz tego w szybkich swych ruchach pod wodą wydaje nam się, jak gdyby był otoczony srebrną połyskującą aureolą. Na tem zakończymy opis pająków przędzących, przy których mogliśmy tylko podziwiać mądrość natury; ale jak w całym żyjącym świecie widzimy obok istot pożytecznych a przynajmniej nieszkodliwych, i takie, które się kosztem innych utrzymują, a za to odpłacają im tylko zadawaniem cierpienia, tak i między pająkami są



Krzyżak w swojej sieci.

gatunki nie umiejące żyć niezależnie. Wgryzując się w ciała innych zwierząt, sprawiają ból i choroby nietylko dokuczliwe, lecz często trudne do wyleczenia.

Takiemi są Moliki i Kleszcze. Do pierwszych należy Świerzbowiec; gołem okiem ledwie się dojrzeć daje, ale uważany przez mikroskop okazuje ciało niemal kuliste, pyszczek kształtu stożkowatej brodawki kilku szczękami opatrzonej, i nogi w liczbie ośmiu, bardzo między sobą odmienne, albowiem cztery tylne kończą się tylko szczecinami, gdy cztery przednie opatrzone są na końcach banieczkami, za pomocą których pasożyt ten ujmuje się powierzchni ciał najgładszych. Bardzo pospolity jest w jesieni na polach, wgryza się ludziom pod skórę, gdzie obecność jego nieznośne zrządza swędzenie. Mnożąc się w krętych podkopach pod skórą, sprawia jednę z najobmierźlejszych chorób ludzkich — świerzb. Dawniej dotkniętych tą chorobą uważano za nieczystych i odsuwano się od biednych ludzi, zostawiając ich na pastwę strasznym cierpieniom. Dziś dzięki postępowi nauki i na tę dawniej niepodobną do wyleczenia chorobę znajdują się pomocne leki.

Kleszcze są pokryte skórą rozciągliwą, żyją w lasach, a przy zdarzonej sposobności wpijają się w skórę zwierząt ssących. Mianowicie jeden gatunek, kleszcz brazylijski, przypina się do ciała psom, wołom itp. i tak głęboko zapuszcza swój smoczek, że nie podobna go odjąć bez wyrwania razem części skóry, do której przylgnął. Podług zapewnień osób, będących w Ameryce, tak znaczna bywa tam niekiedy mnogość tych pasożytów, że oblężone niemi woły i konie zdychać muszą z wycieńczenia.

Są jeszcze inne pająki zwane bezdysznemi (gdyż dotąd organów oddechania u nich nie znaleziono), które żyjąc w morzu i słodkich wodach, lub też mikroskopijnie małe a nieszkodliwe, nie zwracają naszej uwagi.

Kraków 1869.

Zygmunt K.....

NIHILISTA.

POWIEŚĆ

PRZEZ J. J. J.

(CIĄG DALSZY.)

Pantalejmon Pantalejmonowicz był studentem moskiewskiego uniwersytetu w czasach, kiedy Moskwa, po ośmnastomiesięcznych zapasach z bezbronnymi obrońcami Polski, pokonała nareszcie styczniowe powstanie i upajała się tryumfem zemsty. Ofiarę krwią zbroczoną na ziemię powaliła i nad nią się znęcała. I deptała po niej, i plwała na nią, i dodawała sobie podniety klątwami, które z zapienionych gniewem ust ciskała. Ogromne imperium wzdłuż i wszerz brzmiało klątwami na Polskę — na słabą, na bolejącą, na okrwawioną — klątwami, które publicystyka, prowadzona przez Katkowych, usprawiedliwiała kłamanymi bezczelnie powodami, odurzając nimi publiczne sumienie samejże Moskwy, jak Turcy odurzają się haszyszem. Zkąd te powody były czerpane? — zewsząd: z historyi, z polityki, z filozofii, z religii, z ekonomii politycznej, z estetyki, z nauk socialnych, z etnografii, z fiziologii, z filologii, nawet z astronomii — słowem zewsząd, zkąd tylko wyrwać się dała jakakolwiek racya, potępiająca Polskę, względem której Moskwa w potrójnej wystąpiła funkcyi: oskarzyciela, sędziego i oprawcy.

Ta wrzawa nie mogła nie działać na umysł młodego człowieka. W rozumowania jego często, bardzo często wplatała się Polska, a zawsze albo jak pęto u nóg jego ojczyzny, albo jak domowy złodziej, którego się najtrudniej ustrzedz. W rozmowach z ojcem, z członkami towarzystwa, w którem żył, z kolegami, nieustannie była ona treścią najinteresowniejszą. Nie dziw przeto, że uważał ją za zawadę, którą usunąć należy, jeżeli Moskwa ma spełnić swoje ruinne posłannictwo.

Usunąć — jak?...

Długo nad tem myślał, aż o słuch jego uderzył wielki krzyk, powtarzany przez miliony ust:

— Abrussit'!...

„Abrussit'" — czyli, wszystko co wchodzi w skład olbrzymiego imperium, sprowadzić do jednego mianownika, wydało mu się środkiem najpraktyczniejszym do usunięcia Polski, a zarazem preludium najkonieczniejszem do dopięcia celu takiego, jak nihil.

Okrzyk ten wielce Pantalejmona Pantalejmonowicza ucieszył; dał mu bowiem poznać, że pomiędzy moskiewskim ogółem a nim zachodzi moralna łączność, będąca rękojmią powodzenia dla idei, którą on sam z siebie wysnuł. Czuł się wodzem, mającym za sobą liczne hufce — ale czuł się nim w całej pełni póty, póki był studentem moskiewskiego

uniwersytetu. Wydawało się mu, że byle się ruszył naprzód, to świat piersią roztrąci, a Polskę jedną nogą przydepcze. Lecz gdy uniwersytet skończył i dyplom, dający mu prawo do „czinu“ dziesiątej klasy, w zanadrze schował, jego cel wydał mu się trochę trudniejszym do osiągnięcia, usiadł, na dłoniach głowę oparł i zapytał sam siebie:

— Cóż dalej?...

Myśląc przypomniał sobie, że ma tam list ojcowski, który rano otrzymał i którego jeszcze nie czytał. Chwycił się tego, jak skołatany umysł chwyta się rozrywki; wydobył list z zanadrza, odczytał i poweselał.

— Starzy umieją niekiedy praktyczne dawać rady... rzekł głośno.

Cóż dziejstwitielny sztatski sowitnik i wielu orderów kawaler pisał?

Dawał synowi rady rzeczywiście praktyczne, chociaż z odmiennego aniżeli on wychodził stanowiska. Oto treść jego listu:

„Skończyłeś uniwersytet, masz prawo do „czinu“ dziesiątej klasy. Winszuję ci. Masz drogę przed sobą otwartą. Idź w którą chcesz stronę, zajdziesz, tu powolniej, ówdzie prędzej. Chodzi tylko o to, aby iść jak najprędzej, póki młody, ażeby przejść niższe „cziny“ i w pełni lat stanąć na wysokim szczeblu. Możesz wybrać sobie zawód, jaki chcesz; lecz radzę ci, idź do sztatskiej służby, w innych bowiem wiadomości, jakie nabyłeś, nie znajdą zastosowania“.

Tu definiował zawody wojskowy i duchowny. O pierwszym wyrażał się, że jest piękny, dla tego że władza pięknym go mieć chce; ale na to, aby zostać dobrym jenerałem, dość mieć rozumu więcej trochę aniżeli koń. „Znałem tylu jenerałów — pisał stary Gagaryszkin — żaden nie umiał i umieć nie potrzebował więcej, jak ty, mój synu, kiedy byłeś w czwartej klasie kaługskiego gimnazyum. Wszystko więc, czego się nauczyłeś w klasie piątej, szóstej i siódmej, i wszystko czego się nauczyłeś w uniwersytecie, byłoby straconem. Straconym nawet byłby czas. Gdybyś bowiem był wstąpił do wojska z klasy trzeciej, to dziś, jako „dworianin“, byłbyś już sztabskapitanem. „Zawód duchowny przedstawiał stary jeszcze niekorzystniej, a to ze względu na małe poważanie sukienki kapłańskiej w sferach rządowych i wyższych społecznych. Przy tej okazyi przypomniał przysłowie moskiewskie, zastosowane do ojca, kłopotającego się, co ma robić z głupim synem: „Kali duràk, to w popy jewo“ (kiedy dureń, to zrób z niego popa). Miał tak dobre o swoim synie wyobrażenie, że mu stanowczo to odradzał, a natomiast radził mu jak najusilniej wstąpić do służby „sztatskiej“.

„Chodzi tylko — pisał — o wybór miejsca. Możesz obrać karyerę w służbie sądowej, administracyjnej, finansowej, naukowej, w mieście gubernskiem, w stolicy, w Rosyi, na Syberyi, na Kaukazie, w guberniach zachodnich, w Polsce“. Tu przechodził dogodności i niedogodności służby w każdem z tych miejsc, biorąc za miarę porównania łatwość odznaczenia się i ściągnięcia na siebie uwagi „naczalstwa“.

„Jeżeli chcesz się odznaczyć, jedź do gubernii zachodnich lub do Polski. Tam pole dla młodych czynowników, gorliwych i roztropnych. Tam możesz pójść prędko i zajść wysoko, możesz dopędzić i przepędzić twego ojca— czego ci, kochany Pantalejmonuszko, z całego życzę serca“.

Pantalejmon Pantalejmonowicz nie podzielał bynajmniej przekonań ojca. Dla tego ostatniego artykułem wiary, osią jego bytu moralnego, było czinopołożenje. On zaś miał je za największe głupstwo, za rodzaj foremki, podobnej do patronów, służących malarzom pokojowym do fabrykowania bukietów wiecznie jednakich, i jasno to widział, iż w podobną foremkę wtłoczony naród jest i pozostać musi niewolnikiem, na przekór wszelkim reformom, jakieby we względzie urządzenia wewnętrznych jego stosunków zaprowadzono. Wszelako był to grunt wspólny, na którym się z ojcem schodził. Tam gdzie stary Gagaryszkin widział szybkość awansu, młody widział destrukcyjne posłannictwo Moskwy. Wstał więc z kanapy, przeszedł się po izbie, stanął przed oknem, spojrzał na wycinek panoramy miejskiej, która się przed jego oczami rozwijała, postał, pomyślał, ręką machnął i rzekł:

— Byt' po siemu...

Jest to moskiewskie „amen“, bardzo uroczyste, bo wyłącznie przez cara używane. Żaden zwyczajny Moskal nie osmieliłby się wyrzec go nawet pomiędzy czterema ścianami. Lecz bohater nasz nie był Moskalem zwyczajnym. Jako „wolnodumiec“ czuł się upoważnionym wdzierać się w carskie prerogatywy. Wyrzekł więc moskiewskie „amen“ i od razu znalazł się na swojej drodze.

Pozostawało mu tylko dopełnienie pewnych formalności, z któremi nie miał najmniejszego ambarasu, a to dla dwóch powodów: raz dla tego, że posiadał protekcyę samego Katkowa, powtóre dla tego, że oświadczył się z chęcią jechania na służbę na Ruś. Tak Katków jak dyrektor departamentu spraw wewnętrznych, któremu przedstawił się z listem redaktora „Moskiewskich Wiedomosti“, bardzo jego chęć pochwalili, za to głównie, że nie należy do tej „swołoczi“, która się tam udaje i moskiewską sprawę kompromituje.

— Tam potrzeba ludzi — mówili mu — którzyby russkie dzieło rozumieli i polskiej intrydze czoło stawić potrafili... Tam potrzeba polonizm z korzeniem wyrwać... Jedź... Oby takich jak ty znaleźć jak najwięcej...

Opisywali mu polską intrygę, którą obrazowali pod postacią trójcy w jednej osobie, wytworzonej z jezuity, szlachcica i żyda.

Opis ten był zbytecznym, albowiem Pantalejmon Pantalejmonowicz tyle się naczytał o polonizmie, że miał

o niem bardzo dokładne wyobrażenie, dokładniejsze może nawet, aniżeli dyrektor departamentu. Ten bowiem przedstawiał go jako intrygę, to znaczy, jako siłę sztucznie wytworzoną, bez racyi bytu; on zaś widział w nim ideę, przeciwną moskiewskiej, ale naturalnie wytworzoną z żywiołów miejscowych, które się wiekami urabiały, rozwijały, konsolidowały. Ale zgadzał się na to, że:

— Trzeba go z korzeniem wyrwać...

Zgadzał się więc z ojcem, pomimo że odmiennych był przekonań; zgadzał się z dyrektorem departamentu, pomimo że odmiennych był przekonań. Podjął się być russkim działaczem, w prowincyi, która według szkoły Katkowskiej jest prawdziwym russkim krajem, tylko na polsko umalowanym, która według niego jest zawadą, mogącą Moskwie przeszkodzić w dopełnieniu posłannictwa, jakie on dla niej wyrozumował.

Dopełnienie formalności nie długo zabawiło. Nie czekał na nominacyę kilka miesięcy, jak to się zdarza w czasach zwyczajnych; dostał ją prędko, równie jak list polecający do jenerał-gubernatora Bezaka; opakował książki i portrety i wyprawił je do Kijowa, pożegnał się z kolegami i profesorami, i ruszył, najprzód do Kaługi, pomimo że było mu to trochę z drogi.

Nie będziemy opisywali widzenia się jego z ojcem. Odbyło się ona na wzór i podobieństwo wszystkich pożegnań. Ojciec czuł się obowiązanym powtórzyć synowi wszystko co w liście napisał; syn czuł się obowiązanym wysłuchać cierpliwie tego wszystkiego. Ojciec dodał do tego wszystkiego kilka westchnień, trochę łez i formalne błogosławieństwo; syn na westchnienia westchnieniami odpowiedział, na łzy odpowiedział przyłożeniem chustki od nosa do ócz, a błogosławieństwo przyjął z taką samą formalnością, z jaką było danem. Najbardziej jednakże rozrzewnił go dodatek, który pod postacią kilku sturublowych biletów bankowych znalazł się w jego pugilaresie.

Podobał się mu on, pomimo że reformatorskie jego pojęcia odpychały pieniądze, jako rzecz zbyteczną i niepotrzebną, jako złe konieczne, ale tymczasowo dość wygodne. Wsunąwszy więc to złe konieczne w zanadrze, uścisnął po raz ostatni ojca i opuścił rodzinne miasto w kibitce pocztowej, która go uniosła całym pędem mocno ćwiczonych koni.

Jemszczik (pocztylion) na koźle siedział prosto z wyciągniętemi naprzód rękami; lejcami targał konie i knutem je zacinał, cmokając i przemawiając do nich:

— Ach! dziateczki wy moje... ach! gołąbki... sokoły... wyciągajcie się jak struny... lećcie jak wiater... z górki na górkę, da barin na wódkę... Nu — tie... uuu... moje dziatki... moje sokoliki... pomykajcie...

Przemawiał łagodnie, słodko, a ćwiczył bez miłosierdzia, skutkiem czego wózek pocztowy mknął niby huragan, zostawiając za sobą tuman kurzawy, który się w dali rozwiewał w obłoczystą chmurę.

Pantalejmon Pantalejmonowicz wyjechawszy z Kaługi, kilkakrotnie obejrzał się po za siebie.

Czy wywoził w sercu tęsknicę za rodzinnem miastem?

Czy może mówił z Heinem:

Schöne Wiese meiner Leiden, schönes Grabmal meiner Ruh?

Nie wiem. Podobno, pomimo że miał dwadzieścia cztery lata skończone, serce jego było jeszcze dziewiczem. Więc jeżeli zaroniła się weń jaka tęsknica, jeżeli był w niem jaki ból, to chyba żal za miejscem, w którem się urodził, w którem stała jego kolebka i urabiały się pierwsze pojęcia. Żal podobny mimowolnie bierze serce ludzkie w kręgi i ściska je. Czuć go muszą ludzie najzatwardzialsi. Tem bardziej przeto czuć go musiał nasz bohater, który, chociaż Moskal, był jednakże koniec końcem człowiekiem, chociaż nihilista, był wszelako jeszcze młodym.

Obejrzał się kilkakrotnie po za siebie, parę razy westchnął, i byłby chciał, aby kibitka nieco powolniej biegła. Lecz jemszczik tak czule z końmi rozmawiał i tak mocno je ćwiczył, że Pantalejmon Pantalejmonowicz mimowolnie oderwał uwagę swoję od rodzinnego miasta i zwrócił ją na słowa i czyny jemszczika.

Te słowa i te czyny obudziły w jego myśli ideę — jaką? — trudno orzec. Kibitka, na której siedział, przybrała kształty olbrzymiej wielkości wozu, takiej wielkości, że pomieściłoby się w nim wygodnie całe moskiewskie imperium, rozdzielone na dwie części, z których jednę reprezentował on a drugą jamszczik. Konie reprezentowały siłę pędu wydobytą z jakiejś materyi, której bliżej jego fantazya nie określała. Knut odgrywał także jakąś rolę. Wszystko jednakże razem przedstawiało się w myśli młodego człowieka jakoś niewyraźnie, mglisto, mętnie, i dlatego właśnie stanowiło rozrywkę wielce zajmującą. Snuł, niby z kłębuszka na tkacki warstat, to jakieś traktaty filozoficzne, polityczne i społeczne, to znów jakieś niby pieśni, niby poemata, układające się rytmicznie. Snując traktaty, potrącił niechcący o polską ideę, czyli, według Katkowa, dyrektora departamentu i całego urzędowego świata moskiewskiego—intrygę, i zadał sobie następujące zapytanie:

— A czy nie możnaby jej w ten sposób zażyć, w jaki ten jemszczik zażywa koni?... przemawiać do niej słodko, czule i smagać ją z całej siły?... Hm... hm... gdyby jej tak zażyć, czy nie powiezłaby ona Moskwy, jak te konie wiozą kibitkę?... Czy nie odkrył ja nowej siły, nowego prawa? Czemużby nie? Wszak Watt na imbryku odkrył w parze siłę, której ludzie nie znali, pomimo że tyle ludzi od stworzenia świata siły szukało...

Kibitka mknęła, a on dumał i marzył.

W przejeździe przez jakąś wieś kaługskiej gubernii, jemszczik dla złej drogi ściągnął koniom lejce i pojechał stępem. Było to nad wieczorem. Wieśniacy od jakiejś roboty powracali. Kilkudziesięciu mołodców, w wysokich

z *perechwatem* kapeluszach i w czerwonych z błękitną wstawką pod pachą, lub błękitnych z czerwoną wstawką, z boku pod szyją zapinanych i po wierzchu spodni spuszczonych koszulach, traktem ciągnęło i chórem spiewało. Spiewali jednę z tych pieśni, zwanych „*żaliwnyje*“, do których przyspiewek wlecze się długo, przeciągle, podobny do chychotu, do płaczu i do echa. Pieśń zwróciła na siebie uwagę Pantalejmona Pantalejmonowicza. Wsłuchał się w nią i wyrazy jej w pamięci sobie notował. Była ona następującą:

Charaszá násza dieréwnia,
Tólka úlica griazná.
Derbeń, derbeń, biń, Kaługa.
Tólka úlica griazná,
Tólka úlica griazná,
Tólka úlica griazná.

Charaszi nászi rebiáta,
Tólka słáwuszka durná.
Derbeń, derbeń, biń, Kaługa.
Tólka sławuszka durná,
Tólka słáwuszka durná,
Tólka słáwuszka durná *)

Ostatni wiersz pierwszej strofy i ostatni drugiej, po czterykroć powtarzane, a za każdym razem coraz to na wyższą brane nutę i coraz to przeciąglej wygłaszane, wywołały uśmiech na jego usta. Pieśń ta była niejako poematem opisowym, zwięzłym, bo w dwóch strofach zawartym, a skreślającym obraz dokładny Moskwy. To dało mu treść nową do myślenia. Podobała się mu ta otwartość, z jaką spółziomkowie jego przyznawali się do złej sławy. Następnie „złą sławę“ wziął pod rozbiór analityczny i zastanawiał się nad istotą jej; a przymierzywszy ją do określenia własności, wynalezionego przez Prudona, zakonkludował, że jeżeli jest ona „złą“, to tylko w pojęciu względnem, i zatem przemieni się ona na „dobrą“, kiedy względność inne będzie miała znaczenie, to jest, kiedy własność indywidualna ustąpi miejsca własności kollektywnej w najobszerniejszem znaczeniu, takiej jaka istnieje dla ptaków, dla czworonożnych, dla owadów, dla płazów. Przesuwały się mu przez myśl wszystkie teorye socyalne. Każda wydawała się mu niepraktyczną, a to dla tego, że każda miała pretensyę budować wówczas, kiedy według jego przekonania, wysnutego z przymierzenia wszystkich teoryi razem i każdej z osobna do stanu jego ojczyzny, ażeby módz myśleć o budowaniu—potrzeba było najprzód zburzyć.

— Z niczego stanął ten świat: więc trzeba znów zrobić nic, ażeby mógł nowy świat stanąć...

Tak myślał, a kibitka mknęła, niosąc Pantalejmona Pantalejmonowicza do dawnych polskich prowincyi, które mu się wydawały wybornem na robienie reformatorskich doświadczeń polem.

Więc dostatecznie już, zdaje się, dałem poznać bohatera, mającego odegrać główną w powieści naszej rolę. Pozostaje mi tylko zaznaczyć jeden wykrzyknik, który mu się mimowolnie wydarł z piersi, gdy załatwiwszy się z jenerał-gubernatorem Bezakiem, który jak poprzednik jego Anenków, broniąc russkiego wielkiego narodu przeciwko polskiej intrydze, umarł na wyłomie, stanął na bruku stolicy Rusi i w niej się nieco rozpatrzył.

— O?... toż to jest *mátuszka russkich grodów!*

Fizyognomia ludności wydała się mu całkiem odmienną od moskiewskiej. Wprawdzie na Podolu znalazł kupców Moskali, na Peczersku mnóstwo urzędników, na ulicach sołdatów, zwoszczyków, drożki, *praliotki*, kacapów sprzedających *marożene* (lody) i kacapczuków roznoszących *pierożne* (ciastka), i popów w rasach, i czerncow, i czernice; lecz wszystko to miało pozór piany, którą się pokrywa zburzone morze. Z poza tego wszystkiego, albo raczej z popod tego wszystkiego przeglądała fizyognomia odmienna tubylca, kijowskiego mieszczanina, cale nie moskiewska. Postrzegawcze oko Pantalejmona Panta-
miał czasu studyować jej. Jenerał-gubernator przeznaczył ie
miał czasu studyować jej. Jenerał-gubernator przeznaczył go na prowincyę, do powiatu, na mirowego pośrednika, a to w celu, aby wszedł w bezpośrednią styczność z żywiołami miejscowymi i usposobił się do walczenia z polską intrygą, która, jak twierdził, mocno jest zagnieżdżoną, a ma za reprezentantów swoich trzy żywioły: szlachcica, księdza i żyda. Stosowne też dał mu instrukcye.

Nie mogę wyraźnie nazwać powiatu, do którego bohater nasz został przeznaczony. Gdybym go nazwał, byłaby to denuncyacya. Niech więc powiat nazywa się X.; niech i stolica onego nazywa się także X., a będzie miasteczkiem, jakiem są bez wyjątku wszystkie miasteczka na Rusi, zostającej pod moskiewskiem panowaniem: żydowskiem, brudnem, pełnem gnoju, pełnem śmiecia, posiadającem rynek otoczony zajezdnemi domostwami, jednę główną ulicę błotnistą i poboczne jeszcze błotnistsze, kościoł w mieście, cerkiew na przedmieściu, kilka budynków rządowych, ozdobionych w orły dwójgłowe, kilka dworków za sztachetami, jakiś jeden i drugi magazyn podobny do szopy, kilkanaście sklepików korzennych, bławatnych i handel

---

*) Tłumaczenie dosłowne: Piękną jest nasza wieś, tylko ulica błotnista, tylko ulica błotnista (cztery razy). Pięknymi są nasi chłopcy, tylko sławę mają złą (cztery razy). „Derbeń, derbeń, biń, Kaługa“ — ta wstawka da się chyba zrozumieć przy pomocy tego miejscowego języka, którym mówili Moskale przed przyjęciem mowy słowiańskiej, i którego ślady przechowuje język moskiewski, zwłaszcza w fizyognomii językowej, tak różnej od fizyognomii innych słowiańskich języków.



Uroczystość Wielkiego święta na Litwie. (str. 59).

win, odznaczający się wielkością. Ten ostatni mieścił w sobie duży salon, który służył do zabaw publicznych. Zdarzał się niekiedy jaki wędrowny koncertant, albo jaki kuglarz lepszego tonu, który w przejeździe na kontrakty do Kijowa lub Dubna, na jarmark do Berdyczowa, Jarmoliniec lub Bałty, zatrzymywał się w X. na dni kilka, celem ułowienia kilkunastu rubli. Dawniejszemi czasy zjeżdżał tam niekiedy i teatr z repertoarzem, w którym najpierwsze miejsce zajmowała „Natalka Pułtawka“; lecz od czasu, jak Moskale kraje zabrane ogłosili za „starożytny russki kraj“, wędrowne trupy zaprzestały dawać ruskie przedstawienia. W russkim kraju ruski teatr stał się zbrodnią stanu jak najsurowiej zabronioną.

Ludność miasteczkowa w X. była wyłącznie prawie żydowską; na przedmieściach dość rozległych zamieszkiwali przedmieszczanie, pół-Rusini, pół-Polacy, jakimi zazwyczaj bywają chrześciańscy mieszkańcy miasteczek Podola, Wołynia i Ukrainy, trudniący się rzemiosłami, ogrodnictwem, sadownictwem, rolnictwem i po części handlem; wyższa sfera składała się z urzędników wyłącznie; do niej bowiem nie należał katolicki ksiądz, wykluczony przez patryotyzm, ani prawosławny pop, wkluczony przez patryotyzm. Pierwszy miał swoje towarzystwo, złożone z parafian, mieszkających po wsiach; drugi zaś, pomimo że był przypuszczony do towarzystwa reprezententów władzy sądowniczej, administracyjnej, finansowej i policyjnej, ale czuł się w niem obcym, cierpianym jedynie dla tego, że instrukcye i nakazy, według których powiatowy marszałek (predwoditiel dworiaństwa), kapitan sprawnik, sędzia, podsędkowie, striapczy, horodniczy, kaznacżej i mirowi funkcyonowali jako rússkije diéjateli, podawały go jako jeden z żywiołów, za pomocą których państwo dojść może do urzeczywistnienia wielkiej moskiewskiej idei państwowej: jedności wiary, języka i zarządu. Dlatego jedynie powiatowi dygnitarze przywoływali niekiedy popa do swego grona i czynili mu ten zaszczyt, że go na szarym końcu sadzali, do czego przyczyniała się niemało ta okoliczność, że pop nazywał się Sowiński, przez co zostawał w podejrzeniu o polskie pochodzenie.

— Sowiński? — mawiali dygnitarze. — To nazwisko jak ścierwo śmierdzi z daleka...

Ma się bowiem rozumieć, że wszyscy dygnitarze byli to sami kaziennyje Moskale, z gubernii tulskiej, tambowskiej, moskiewskiej, kostromskiej etc., i wszystkich ich nazwiska miały zakończenie, odpowiadające na zapytanie: „Czyj?“ Marszałek nazywał się Chabarów.

Ten Chabarów był najpoważniejszą pomiędzy urzędnikami figurą; najpoważniejszą przez to już samo, że zajmował stanowisko, zależne niegdyś od wyborów, i reprezentował stan, mający w moskiewskiem państwie, pomimo urzędowego i półurzędowego przyznawania się do demokratycznych zasad, wysokie znaczenie. Reprezentował szlachtę, polską wprawdzie, lecz tę tylko tymczasowie, jako skazaną na wywłaszczenie i na ustąpienie miejsca moskiewskiej. Właściwie więc nie reprezentował on tej szlachty, co jest, ale tę, co będzie, to jest, osobowość zbiorową moralną, błagorodność, która, wedle moskiewskiewskiego kodeksu liczy w swojem gronie, na pierwszem miejscu, samego imperatora. Ztąd to powaga Chabarowa była wielką sama przez się, nie licząc tego, że składały się na nią jeszcze i inne dane, a mianowicie: Mikołaj Michajłowicz Chabarów pochodził ze stołbowych, to znaczy, urodził się błahorodiém; wyszedł z wojska w stopniu pułkownika, to znaczy, był czinem wyższy od wszystkich dostojników, urzędujących w X. w imieniu imperatora; posiadał własny majątek, składający się z kilku wsi nad Wołgą, i nakoniec samą postawą swoją nakazywał poszanowanie. Był to człowiek słusznego wzrostu, silnie zbudowany, marsowatej twarzy, posiadający ogładę w obcowaniu, i dużo taktu w obchodzeniu się tak ze spół-urzędnikami, względem których zajmował stanowisko niezależne, jakoteż ze szlachcicami polskimi, których był rzekomym przedstawicielem. Był to, jednem słowem, Moskal... gładki — nie mniej przeto jednakże Moskal w znaczeniu oficyalnem, nieubłagany wróg Polski i Polaków, a mianowicie i szczególnie pana Piotra Zawiejskiego, który przez trzy trienia był obierany na marszałka powiatu X. i którego on zmienił w ostatnim peryodzie w jego urzędowaniu.

Zkąd pochodziło wrogie jego usposobienie względem pana Piotra, na to trudnoby było odpowiedzieć. Nie znali się; nigdy się w życiu przed przyjazdem jego wysokorodia Chabarowa do X. nie widzieli; a i po przyjeździe żadnego pomiędzy nimi zajścia nie było. Pan Piotr zdał urząd bez najmniejszego oporu i na wieś wyjechał. Więc nieprzyjaźń jego wysokorodia przypisać należy chyba temu uczuciu, jakie się budzi w sercu każdego człowieka cudzą własność nieprawnie zagarniającego. Chabarów nienawidził Polaków w ogólności, dla tego, że był członkiem narodu, który zagarnął nieprawnie własność polską; nienawidził Piotra Zawiejskiego w szczególności, dla tego, że zajął nieprawnie stanowisko, które było prawną, bo przez spółobywateli w zaufaniu nadaną własnością tego ostatniego. To się psychologicznie da z łatwością wytłumaczyć. W faktach jednakże nie było żadnego na nieprzyjaźń Chabarowa tłumaczenia. Była ona sama faktem, osłoniętym pozorami grzeczności, której marszałek zamianowany przez rząd umiał nadać ton komizeracyi i protekcyi. Ubolewał nad zaślepieniem Polaków, nad ich smutnem położeniem, nad tem zresztą, że takiego, jak się wyrażał, zacnego i przyzwoitego człowieka, jak Piotr Zawiejski, pozbawili możności przewodniczenia szlachcie powiatu X. (C. d. n.)

Uroczystość Wielkiego święta na Litwie.

Nim jeszcze Litwa stała się chrześciańską, obchodził lud tamtejszy co roku uroczystość rolniczą, ustanowioną na uczczenie „chleba powszedniego“, którą nazywano Wielkiem świętem, a z której obyczaj chrześciański utworzył później tak zwane „Dożynki“, obchodzone do dziś dnia nie tylko na Litwie, ale także na całym obszarze Słowiańszczyzny. Podajemy tu opis tego Wielkiego święta, przedstawionego na załączonej rycinie, trzymając się opowiadania Stryjkowskiego, który chociaż zaledwie kilka słów umiał po litewsku, zasługuje przecież na wiarę jako naoczny świadek tego, co pisał, ile że w tem przynajmniej opowiadaniu nie ma nic niepodobnego do prawdy.

Był na Litwie bóg, którego cześć we wszystkich jej okolicach była upowszechnioną, którego świątynie i ołtarze wznosiły się w wielu miejscach, a głównie w prowincyach nadbałtyckich. Nosił on rozmaite nazwy, z których najwięcej znanemi były: Ziemienikas, Kurko albo Kurcho, Pergubrjos, Pergobuns, Gurko i td. Zwykle jednak nazywano go Ziemienikas, jakkolwiek nazwa to nie litewska lecz słowiańska, i bardzo być może, iż jest skażeniem pierwotnej: „Zemenik“, gdyż ziemia po litewsku nazywa się: zema. Dziwna tajemniczość otaczała jego znaczenie w mytologii litewskiej, i jeśli mamy wierzyć krajowym i obcym dziejopisom, łączył on w swej osobie dwa wręcz przeciwne sobie pierwiastki; był bowiem bogiem dobrobytu i ciemności, obsypywał swoich czcicieli obfitością wszelkich zbiorów, czuwał nad myśliwstwem, rybołostwem, rolnictwem, zgoła był bogiem ziemi i jej siły, a przecież lękał się światła, unikał dnia białego.

Temu to właśnie Zemenikowi była poświęcona uroczystość zwana Wielkiem świętem. Obchodzono ją we wrześniu, po ukończeniu wszelkich robót polnych, a więc w dobie najpomyślniejszej dla naszego kmiotka. Z nadejściem tego dnia zbierał się na umówione miejsce lud z jednej lub kilku wsi, znosząc przeróżne ofiary, złożone z mnóstwa zwierząt i ptactwa domowego po parze. W obszernej budowie stawiano w pośrodku wielki stół, przykryty kilku obrusami, a po czterech jego rogach umieszczano wielkie otwarte cebry, napełnione ulubionym Litwy napojem, piwem. W pewnej odległości ustawiano owe ofiarne zwierzęta i ptaki, których jakeśmy powiedzieli, musiało być po parze. Były więc tam: wół i krowa, baran i owca, kozieł i koza, kogut i kura, gęsior i gęś i t. d. Z całego tłumu gawiedzi wyróżniała się poważna postać męża, przybranego w długą suknię, bramowaną taśmą białą, zapiętą trzema guzikami, z trzema parami pętlic sznurkowych białych, kutasami zakończonych. Biała ze sprzążką taśma opasywała mu biodra. U dołu zaś sukni naszyte miał dokoła kosmyki włosów bydlęcych, długie na piędź, a głowę jego okrywał wieniec z liści dębowych i ziół aromatycznych. Był to wajdelota. Ten odmówiwszy krótkie modły nad zwierzętami, uderzał je trzymanym w ręku prętem, a wszyscy obecni idąc za jego przykładem wykrzykiwali:

„To tobie o Zemeniku, boże nasz, ofiarujemy i czynimy dzięki, żeś nas lata przeszłego zdrowych w obfitości wszelkiego dobra, zboża i dostatków zachował, oraz ochraniał od ognia, żelaza, powietrza morowego i od wszystkich nieprzyjaciół naszych“.

Okrutny ten zwyczaj pochodził ztąd, że przesąd ludu, a raczej fanatycznych jego kapłanów, wymagał, ażeby przez całą tę uroczystość ani jedna kropla krwi wylaną nie została. Ofiara zaiste godna boga ciemności!

Z pobitych zwierząt przyrządzano rozmaite pieczone i gotowane potrawy, któremi cały stół zastawiano. Wajdelota zasiadał do stołu, i biorąc odrobinę każdej potrawy, rzucał ją w kąt mówiąc: „To tobie Zemeniku, boże nasz! Racz przyjąć nasze ofiary i łaskawie te potrawy pożywać“. Tożsamo czynił z napojami. Uczta ta ciągnęła się długo w noc, przy odgłosie trąb i spiewów, a Prusacy kończyli zwykle tę uroczystość kruszeniem starego i sporządzaniem nowego posągu bożka.

Dzisiaj z całej tej uroczystości pozostała tylko uczta, a raczej cień tych uczt i bankietów, jakie niegdyś miały miejsce; a że opis Dożynków podaliśmy już w jednym z przeszłych roczników naszego pisma, więc nie będziemy go tu powtarzać jako rzeczy znanej już naszym czytelnikom.

Kronika.

Ktoby się chciał nauczyć, w jaki sposób można się europejskiej sławy dorobić, powinien pójść do szkoły niektórych francuzkich faiseurów. Że do tego potrzeba mieć talent naprzód lub choćby talencik, to nie ulega wątpliwości, ale sztuka sprzedania go także coś znaczy. Tę najlepiej może posiadają z pisarzy francuskich jenialny i w niej V. Hugo, a po nim autor pani Bovary, Gustaw Flaubert. — Pisze on mało to także środek zyskania sobie ludzi, rodzaj drożenia się z

z sobą; wypatruje chwilę pomyślną, gdy znudzeni Paryżanie nie mają ani Traupmana i Kinków, ani Rochefort'a na głowie... Naówczas przyjaźny dziennik puszcza wprzód głuchą, pochwyconą gdzieś z pogadanek pogłoskę, iż znakomity autor pani Bovary i Salambo w zaciszy wiejskiej stworzył nowe arcydzieło, owoc trudów pięcioletnich... Gazety, nie mające czem szpalt zapełnić, powtarzają pogłoskę... Rodzi się niecierpliwe oczekiwanie. W drugim gdzieś końcu dziennikarstwa wystrzela wiadomość, iż Levy lub Hachette dał 30.000 franków za jeden tomik nowego romansu... W kilka dni potem nadchodzi wiadomość, iż Flaubert, wielki Flaubert przybył do Paryża. Następnie niedyskrecya przyjaciół zdradza, iż ów rękopism przyjechał z autorem w szkatułce z różanego drzewa, oprawny w rzeźbioną kość słoniową i na klucz zamknięty... Puszczona wieść o 30.000 frankach okazuje się fałszywą; Verboeckhoven, nabywca romansu V. Hugo, daje za nową powieść 50.000... Publiczność jest podpalona, niecierpliwa, zaciekawiona, rozgorączkowana. Romans drukuje się... romans się ma ukazać, romans na ostatku... wyszedł... Drugie wydanie poprzedziło pierwsze, a piąte musiano trzeciego dnia już drukować. Wszystkie odcinki ogłaszają rozbiory, a umiejętna polemika zwiększa zajęcie... i — le tour est fait. Autor i książka idą po falach błagi paryzkiej do... potomności.

Obok tego obrazka z rzeczywistości paryskiej moglibyśmy postawić drugi z naszego literackiego żywota. Autor rękopism trzyma od lat pięciu w tece dla niedostatku nakładcy... Po kawałku wypraszają go sobie wydawcy kalendarzów i dzienników bezpłatnie... publiczność wcale się nie zajmuje ani twórcą ani utworem. Jednego szczęśliwego dnia właściciel drukarni, nie mający czem zająć pras, godzi się na przyjęcie rękopismu i wydaje go na wspólkę z pisarzem. Książka ukazuje się w chwili, gdy w Krakowie kłócą się o akcyzę lub Barbarę Ubryk, gdy we Lwowie tłuką szyby dla ułatwienia wyborów do sejmu. Czas nie pisze o niej nic, bo nie lubi autora; Gazeta Narodowa, bo nie wie co ma napisać... wydawca boi się łożyć na anonse, i nieszczęśliwa kreacya godzin mozołu lub natchnienia, sprzedana spekulantom za bezcen, po cichu wsiąka gdzieś niepostrzeżona... Jest to jeszcze wypadek bardzo szczęśliwy, bo dla tego uduszonego w kolebce dziecięcia sprawiedliwość może przyjść kiedyś, jeźli je kto odkopie. A ileż razy najlepsze dzieło spoczywa w tece i butwieje, bo go nie ma komu wydać, komu czytać i ocenić.

Wspomnieliśmy o Gustawie Flaubert, gdyż w istocie ukazała się przed kilku dniami oddawna obiecywana jego: L' education sentimentale. Ma to być obraz dzisiejszego społeczeństwa... żywy i malowniczy w niektórych częściach, w ogóle chybiony. Zdaje się, że sława autora Salambo niewiele na nim zyszcze. Jest to wszakże z zapowiedzianym Victora Hugo: „Le crime du 2. Decembre" najgłośniejsza nowość.

Naszych własnych mamy niewiele, i te są ściśle wziąwszy nie zupełnie nowe, wyjąwszy dwóch tomów bardzo pięknych poezyi T. Lenartowicza. Ze starych zbroic i Album włoskie stanowią nowy zwrot w zawodzie poetyckim lirnika mazowieckiego; nastrój wyższy, a w Album przedmiot dotąd prawie przezeń nietykany. Pełne to uroku te dwa zbiory, i nie wątpimy na chwilę, że nim czytelników pochwycą... Ale poezyi miłośników tak niestety niewielu, a poezya w ogóle tak jakoś do twarzy wieku nie przypada!

Dzieje Polski porozbiorowej (Poznań, Żupański) są drugą nowością godną najsympatyczniejszego przyjęcia. Książka ta pełna treści, zbudowana na pracowitych studyach, w której słowa próżnego nie ma; owoc znać długich lat i jak najstaranniejszego wykonania. Dziś się już tak książki nie piszą, nie mamy czasu tak po tacytowsku być krótkimi, zawrzeć tak wiele w słowach tak dobranych i trzeźwych. Dzieje Polski są w swym rodzaju dziełem klasycznem, które bądź co bądź w literaturze naszej historycznej zaszczytne zajmie miejsce i — co trudniej, utrzyma się na niem.

W owych czasach, gdy jeszcze Litwie wolno było być sobą, i pisać o niej po polsku i kochać ją po staremu, zmarły niedawno nieodżałowanej pamięci Konstanty hr. Tyszkiewicz (brat Eustachego, założyciela Muzeum w Wilnie) odbył umyślną podróż Wilią, aby opisać jej brzegi pod względem historycznym, archeologicznym i etnograficznym. Działo się to w roku 1858; do śmierci w r. 1869 pracował hr. Konstanty nad rękopismem i ilustracyami do niego. W chwili zgonu był on gotowy do druku. Obszerne to dzieło, ozdobione rysunkami Ant. Zaleskiego i innych, wykonanemi w drzeworytach, ma się ukazać w początku roku przyszłego. Będzie to jakby ostatnie pożegnanie rodzinnej ziemi przez jednego z najczcigodniejszych jej synów. Zmieniona dziś kraju fizyognomia, męczeńskie jego losy, mnóstwo ciekawych szczegółów uczynią to dzieło wielce zajmującem; ozdobne i wielce staranne wydanie odpowiedzieć powinno wewnętrznej jego wartości. Nie oszczędzano nic, by woli zmarłego uczynić zadość i pracę jak najkompletniejszą wydać na widok powszechny. Starannie wykonana karta biegu rzeki dołączoną zostanie do dzieła.

Z Florencyi piszą nam, iż Lenartowicz, którego Włosi zowią Il Florentino, poznawszy go z ostatnich rzeźb w rodzaju Gibertego, współubiega się z innymi o ozdobienie pomnika Savonaroli. W Paryżu wyszły dwa piękne portrety J. Maleszewskiego: Kazimierz W. i Zygmunt August... Nie wątpię, iż fotografię z rysunku Grottgera — Pochód na Sybir—o której wspominałem, znać już we Lwowie musicie. Czytam w dzisiejszych dziennikach waszych, iż pan Teodor Szajnok nabył od Alberta w Monachium świeży jego wynalazek drukowania fotografii. Jeźli one tanie być potrafią, a odbicia zadowolnią, może to w ilustrowaniu ksiąg całkowity uczynić przewrót. W każdym razie nowość ta, tak prędko u nas przeszczepiona, bo pan Szajnok, o ile wiemy, jest jednym z pierwszych nabywców sekretu... zasługuje na wzmiankę.

O kilku jeszcze wkrótce mających ukazać się dziełach godzi się wspomnieć: Pantheon wiedzy ludzkiej, pośmiertna pozostałość po dr. Bron. Trentowskim, drukuje się u Żupańskiego. Słyszeliśmy także o nowem wydaniu Ojcze nasz; o nowem tomie poezyi Lenartowicza; o broszurze A. Guttrego, roztrząsającej sprawy i pisma Ludwika Mierosławskiego; o Kaukazie Gralewskiego, czekającym nakładcy; o historyi Masoneryi w Polsce, dr. Hip. Skimborowicza, o nowym przekładzie kroniki Gallusowej przez tłumacza Thietmara; o studyach (po polsku) J. Klaczki; o blizkiem ukazaniu się nowego

tomu Tomicjanów. — Ałboż to mało? Gdyby obok tych świadectw pracy można równie postawić dowody pomnożonej liczby czytelników i zajęcia literaturą! Jeźli jest jaki postęp w tym względzie, prędzej go od dołu niż od góry dostrzedz można. Czytelnicy nasi wszyscy niemal należą do mniej zamożnej klasy społeczeństwa; wyjątkiem są znowu dziś w wyższych towarzystw sferach ludzie zajmujący się i poczuwający do pewnych obowiązków względem piśmiennictwa krajowego. Tu albo się wcale nic nie czyta, lub gazetę francuską, Revue de deux mondes, nową powieść Feuilleta, nowy dramat V. Sardou... Literatura nasza zbyt demokratycznie jakoś wygląda, aby na stołach salonów prawo obywatelstwa uzyskać mogła — w istocie nie jest dziś modną, a wszystko niestety idzie u nas modą... Dlatego nie tracimy nadziei, że kiedyś może i domorosłe nasze utwory pozyszczą łaskawe względy.— Któż wie? Królowa a pani tak jest niestałą, może się jej zamarzyć pokochać coś swego, gdy sankcya na to przyjdzie z Paryża... Godna uwagi, iż w Paryżu my w ogóle nie jesteśmy w modzie; tam teraz panują Rosyanie, a więc i w naszych modnych kołach polakierya, polska książka, polski duch, wszystko co polskie źle jest widziane. Na dany znak ze stolicy świata któż wie, gotowo się to odmienić? Gdybyśmy sobie jakiego Girardina kupić mogli!

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(Recepta na długie życie.) Czy chcesz dożyć stu lat, kochany czytelniku? A któżby tego nie chciał! To sprawże sobie co prędzej wydane świeżo dzieło francuzkie p. Juliusza Frey pod tytułem: „Sposób przedłużenia życia“, wyucz się go dokładnie na pamięć, a przekonasz się najzupełniej, że każdy człowiek jest samobójcą, jeźli nie żyje przynajmniej pięć razy tak długo, jak rośnie, t. j. pięć razy po lat dwadzieścia.

A może nie uwierzysz nam na słowo? To raczże posłuchać, co zaleca p. Frey, a przyznasz, że lepszej recepty nawet ś. p. Matuzal nie mógłby podyktować naszym spirytystom.

Metoda p. Frey'a jest bardzo pojedyncza, jak się to samo przez się rozumie, bo kto prowadzi życie skromne, żyje zawsze jak najdłużej. Jédz— gdy masz apetyt, pij— gdy czujesz pragnienie, używaj przechadzki nie męcząc się, spij — gdy cię sen morzy; używaj wszystkiego, nie przebierając miary w niczem; wystrzegaj się namiętności; unikaj przeciągów. Kto wszystko to dokładnie zachowuje, musi żyć sto lat, jeżeliby — wprzód nie umarł. A jeźli nie doprowadzi do stu lat, to zamordował się sam własną głupotą, niedbałością, niedopełnieniem tych przepisów.

P. Frey dzieli potrzeby człowieka na konieczne i zbytkowe. Pierwszą z wszystkich potrzeb koniecznych jest oddéchanie. Oddéchajcie więc czystem powietrzem, w nocy nie nakrywajcie się z głową, otwierajcie często okno, jak najmniej uczęszczajcie do teatru, i unikajcie nagłej zmiany powietrza. Trudno doradzać coś lepszego, ale trudniej jeszcze zachować to wszystko.

Drugą potrzebą — powiada mistrz dalej — jest jedzenie. Jédzcież zawsze z rozwagą, a będziecie łatwo trawić. Jédzcie lekki a zarazem pożywny chleb (o to potrzebaby naturalnie w wielkich miastach rozprawić się wprzód z piekarzami), a wystrzygajcie się ciasteczek. Jeźli macie zdrowy żołądek, jadajcie zwierzęta, mające brunatne mięso, jak wół, wieprz, koń, skop, zając, sarna, kaczka, bażant, gęś i td.; jeźli zaś żołądek jest słabszy, trzymajcie się białego mięsa, jak cielę, kurczę, jagnię i td. Jaja są wybornem pożywieniem, mleko (jeźli nie fałszowane) doskonałym napojem; ryba, jeźli nie solona, jest bardzo zdrowym pokarmem; jarzyna — nie zbierana ani za wcześnie ani za późno — nie może nigdy obciążyć żołądka. Zawsze jednak powinien rozstrzygać tu apetyt. Dziczyzna, mocno przyprawiona, jest równie szkodliwą jak ryba. Extrakt mięsny jest dla rekonwolescentów szczególnie zbawiennym.

Kawa ze śmietanką została oczernioną, jak utrzymuje p. Frey; nie zasługuje ona na potępienie, jeźli śmietanka dobra, kawa czysta, a cukier nie bardzo fałszowany. Czokolady używać może tylko osoba zupełnie zdrowa.

Z przypraw zaleca p. Frey sól, cierpi zaś tylko: pieprz, musztardę, kwaszone ogórki, czosnek i sałatę. Również zaleca mierność przy używaniu śmietany, masła i oliwy. Co do wody, sądzi p. Frey, że zawsze jest dobrą, jeźli kilka kropel wylanych na miedź nie robi żadnej plamy; jeźli lekka, jeźli szybko gotuje jarzynę, jeźli dobrze rozpuszcza mydło, jeźli pochodzi z piaszczystego gruntu, jeźli łatwo przybiera barwę i smak, jakie chcemy jej nadać, jeźli z trudnością zamarza i zachowuje jednostajną temperaturę, a nakoniec jeźli nad ogniem prędko wrze a na powietrzu prędko chłódnie. Woda rzeczna, płynąca przez piaski, jest najlepszą. Wody źródlane, przezroczyste i świeże zawierają mniej powietrza, a często znajdują się w nich sole. Woda studzienna jest zwykle ciężka i niezdrowa.

Herbata i kawa zasługują na pochwałę, ale gorzałkę i absynt odsyła p. Frey do piekła. Powszechnie sądzą, że dodániem wody osłabia się ich wpływ; ale mylne to mniemanie. Spirytus nie traci przezto nic na swej ostrości i działa na żołądek równie tak, jak czysty.

P. Frey mówi także wiele o pomieszkaniach, opale, oświetleniu, sukniach, a nawet o kapeluszach, które po prostu nazywa niezdrowemi. Ale ponieważ potrzeba ochraniać głowę od słońca i od zimna, tedy zaleca on tylko kapelusze słomiane i lekkie pilśniowe z szerokiemi krésami. W końcu radzi jeszcze p. Frey przepędzać codzienie przynajmniej dwie godziny na świeżem powietrzu, której to rady każdy z chęcią usłucha, chociażby był największym nieprzyjacielem próżniactwa, rozumie się — jeźli powietrze pozwala na to.

Wziąwszy to wszystko na uwagę potrzeba przyznać, że rady p. Frey'a są roztropne, i może żyć sto lat a nawet więcej, kto wszystkie te przepisy sumiennie wypełnia. Aleź pomimo to zdarzyć się może, że komuś, co najściślej trzyma się tej metody, gdy pewnego dnia wyjdzie na przepisaną przechadzkę, spadnie cegła na głowę i pozbawi go życia o dziesięć lub dwadzieścia lat prędzej, niżby to nastąpiło może skutkiem karygodnej jego niedbałości.

Mimo to wszakże radzimy wszystkim trzymać się metody p. Frey'a, ażeby nie potrzebowali nic sobie wyrzucać ani w tem życiu ani w przyszłem.

(Ludy przedhistoryczne w Afryce.) Na ostatniem zgromadzeniu towarzystwa „Ethmological Society“ w Londynie miał Sir Georg Grey zajmujący odczyt o ludach przedhistorycznych Afryki. Kamienne narzędzia, groty i t. d. znalezione zostały w znacznej ilości w kolonii przylądkowej, gdy przeciwnie już w czasie założenia tej kolonii tak Kafrowie jak i Hottentoci używali żelaza. Kafrowie podają czas swego osiedlenia się w Afryce na 36 generacyi. Okoliczność ta zresztą, że góry i rzeki tamtejsze noszą nazwy z języka Hottentotów, świadczy dowodnie, że ci musieli pierwej zamieszkiwać te strony. Hottentoci nie używali nigdy kamienia lecz kości do wyrabiania swoich narzędzi. Sir Georg Grey domyśla się przeto jakiegoś ludu przedhistorycznego, który mieszkał na Przylądku, nim jeszcze Hottentoci wtargnęli tam z północy z swojemi narzędziami żelaznemi.

(Żona zamówiona.) Pewien Amerykanin, dorobiwszy się znacznego majątku, pragnął ożenić się; ale czy to przypadkiem czy też istotnie — nie mógł w kraju swoim znaleźć kobiety, którąby odpowiadała jego życzeniom. „Niema tu, to znajdzie się gdzieindziej“ — pomyślał sobie, i napisał do jednego z swoich kolegów handlowych w Londynie, o którego rzetelności był przekonany. Wspomniawszy najprzód o rozmaitych sprawach, o wełnie i bawełnie, przystąpił wkońcu do artykułu: „małżeństwo“. — „Postanowiłem ożenić się“ — pisał. „Tu nie znajduje się nic stosownego. Bądź pan łaskaw przysłać mi pierwszym statkiem kobietę z następującą kwalifikacyą: Posagu nie potrzeba, ale kobieta musi pochodzić z zacnej familii, i liczyć najwięcej 20—22 lat; ma być średniego wzrostu, przystojna, miłej powierzchowności, nieskażonej sławy, zdrowa i silna. Musi wytrzymać trudy przeprawy i zmianę klimatu, ażebym nie potrzebował szukać zaraz innej. Jeżli podług zamówienia przybędzie tu z niniejszem, przez pana żyrowanem pismem (lub wiarogodnym odpisem,) obowiązuję się uznać ważnym ten dokument i zaślubić właścicielkę jego w czternaście dni po okazaniu. — William R.“ — Gdy kupiec londyński otrzymał to zlecenie, zdziwienie jego nie było zbyt wielkie; brat Jonathan i John Bull rozumieją się, gdy chodzi o jakieś dziwactwo. Po dłuższem szukaniu zdało się Anglikowi, że znalazł odpowiedni artykuł; była to dziewczyna uboga, ale z dobrej familli, i ze wszech miar godna szacunku; przyjęła też bez wahania zrobioną sobie propozycyę i w krótce opatrzona w potrzebne świadectwa odpłynęła wraz z innymi, przeznaczonymi dla p. Williama R. towarami do Ameryki. W liście frachtowym była następująca wzmianka o przyszłej małżonce: „Detto, dziewczyna, 21 lat mająca, zamówiona podług załączonych dokumentów.“ — Wszystko dostało się szczęśliwie do portu; William czekał u brzegu. Ujrzawszy wysiadającą na ląd piękną dziewczynę, wymienił swoje nazwisko; ona doręczyła mu list kupca londyńskiego, który pisał: „Oddawczyni jest małżonką, którą podług szacownego pisma pańskiego z dnia . . . na pański rachunek i niebezpieczeństwo w najlepszym stanie wyexpedyowałem.“ — „Pani — rzekł Amerykanin — moje wexle nie były nigdy protestowane, a odkąd panię ujrzałem, nie zrobię początku z tym, który pani prezentujesz; owszem nazwę się szczęśliwym, jeżli mi pozwolisz go wykupić.“ — W czternaście dni po okazaniu odbyło się wesele; pan William uwiadomił swego przyjaciela o odebraniu przesyłki i podziękował mu za punktualne wykonanie zlecenia. Otóż to rozum prawdziwie amerykański!

(Przysmaki ogryzkowe.) Pisaliśmy niedawno o sekcie gałganiarzy paryzkich; dziś możemy zapoznać czytelników naszych z równie ciekawą i poniekąd pokrewną tamtej gałęzią przemysłu, o jakiej dotąd niema nawet wyobrażenia nasze społeczeństwo.

W podsieniach targowych w Paryżu znajduje się szczególniejszy rodzaj przemysłowców, których język urzędowy zwie handlarzami mięsiwa. Towar, sprzedawany przez nich, zwano dawniej „okruchami kuchennemi“; ale że wszystko pod maską obudza większe zajęcie, więc ochrzczono te przysmaki nazwą „arlekinów.“ Ten artykuł handlowy składa się z wszelkiego rodzaju potraw, a raczej ogryzków, które ci przemysłowcy zbierają ze stołów bogaczy, ministrów, posłów, traktyerników i hoteli. Co rana objeżdżają oni lub ich ajenci z małym, szczelnie zamkniętym i tylko dla przypuszczenia powietrza w dziurki opatrzonym wozem wszystkie kuchnie, z któremi zawierają umowy. Wszystkie resztki uczt z dnia poprzedniego wrzucane bywają zahałem do wozu, i tak dostają się na targowicę do straganu. Tu przebiera każdy handlarz troskliwie tę bezimienną masę, w której rozmaite sosy pomieszane są z pieczystem, jarzyna z leguminą i tp. Co tylko ma jaki taki pozór okazalszy, odkładają starannie na bok, czyszczą, przyrządzają i ustawiają na talerzach. Rozumie się, że ten proces czyszczenia i odświeżania odbywa się w ukryciu, bo nigdzie nie dałoby się z większą słusznością niż tu zastosować zdanie, że nie trzeba zaglądać w palce kucharzowi. Gdy przebieranie zostało ukończone, gdy sprzeczne żywioły ile możności już pogodzono i poważne z delikatnem troskliwie połączono, ustawiają wszystko tak zręcznie, że najlepsze kawałki wpadają w oko i obok powabnej piramidy sałaty zaostrzają apetyt przechodniów. Wszystko sprzedaje się szybko, i nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by handlarz gotowanego mięsiwa nie wypróżnił straganu swego do południa. Wielu nieszczęśliwych, tudzież zatrudnieni w przedsionkach targowych rzemieślnicy przenoszą ten szczególny rodzaj potraw nad pożywniejszą ale droższą strawę, jakiej dostarczają domy gościnne i garkuchnie. Za dwa lub trzy sous mogą zjadać tu wszelkie przysmaki; i jakkolwiek może się to dziwnem wydawać, mają ci handlarze swoich stałych stołowników; co przypisują zgodnie sławnym kuchniom, z których pobierają swój towar. Bogaci, ale skąpi ludzie przychodzą tu pokryjomu zaspokajać swój głód; łatwo ich poznać po ich trwożliwem i badawczem wejrzeniu; drwią też z nich po cichu handlarze, ale ponieważ płacą, usługują im bardzo skrzętnie. Wszystko tedy, cokolwiek wygląda nieco powabniej, znachodzi konsumentów; a jeżli po dozwalanym dość chętnie wyborze pozostaną jeszcze jakie trudne do zbycia resztki, idą takowe na uczty dla psów zbytkowych. Drogie, kudłate pińcze i tak ulubione dziś charty mają tu swoich uprzywilejowanych liwerantów; codziennie odbywają troskliwe ich panie podróż do tych straganów, by kochane te zwierzęta mogły zjeść pożywny a nie drogi obiad. Kości bywają starannie składane i sprzedawane fabrykantom bulionu. „Rzemiosło to — powiadają — przynosi plon złoty“; — i można temu

wierzyć, gdyż znajdzie się w Paryżu niejeden taki handlarz arlekinów, który przed kilkunastu laty rozpoczynał swój zawód jako ubogi Łazarz zbieraniem okruszyn z pańskich stołów, a dziś ma do 10,000 fr. rocznego dochodu i żyje wygodnie i bez obawy, by nie miał dostać się za to do królestwa niebieskiego.

(Ucieczka dla nieszczęśliwych małżonków). Mówiliśmy to już nieraz, i będziemy ciągle powtarzać, że nie ma kraju szczęśliwszego nad Amerykę Północną. Wszystko tam ma swoje prawa, których nikomu naruszać nie wolno; a nawet nieszczęśliwi małżonkowie nie potrzebują jak u nas kołatać przez długie lata do sądów kościelnych i świeckich, ażeby pozbyć się węzła, którego dłużej znieść nie zdołają. Bo proszę tylko posłuchać, jaki wyborny mają środek na to.

Jak wiadomo, nie ma nic łatwiejszego w Ameryce Północnej, jak dopytać się żony. Potrzeba tylko cokolwiek widoczniej zalecać się do jakiej imościanki, ażeby natychmiast otrzymać pozew do sądu o dopełnienie obietnicy małżeństwa. Wtedy pozostaje do wyboru, albo ożenić się, albo zapłacić grubo odczepnego. Większa część kandydatów małżeńskich wybiera w takim razie mimo woli ożenienie się jako mniejsze złe. I słusznie, gdyż Północna Ameryka, która w tym względzie tak gorliwie bierze w obronę płeć piękną, postarała się także o to, ażeby zawiedziony małżonek mógł równie szybko pozbyć się nieznośnej połowicy, jak przyszedł do niej. Oto podług kodeksu Stanu Indyany nie potrzeba do rozwiązania małżeństwa niczego więcej, jak tylko oświadczenia jednego z małżonków. Ażeby więc otrzymać rozwód, potrzeba tylko zostać obywatelem Indyany; a nic znowu łatwiejszego nad to, gdyż czternastodniowy pobyt w granicach tego Stanu wystarcza do uzyskania w nim prawa obywatelstwa. Piękne Amerykanki nienawidzą naturalnie z całej duszy ten złowrogi zakąt, i już niejedna Donna cofnęła skargę o przyrzeczenie małżeństwa, gdy przeciwnik jej oświadczył: „Dobrze, ożenię się z panią, ale jutro jadę do Indyany.“ — Jeden z dzienników amerykańskich ilustrował niedawno tę ustawę o małżeństwie w Indyanie drzeworytem, przedstawiającym pociąg kolei żelaznej w chwili, gdy wjeżdża do jednego z dworców tamtejszych, i konduktor krzyczy do wagonu: „Panowie, 25 minut czasu do rozwodu!“ — Miły Boże! gdyby to podróż do Ameryki nie była tak daleką i tak kosztowną, ilużto naszych małżonków nie ubiegałoby się o prawo obywatelstwa w Indyanie?

(Dokąd wiedzie moda?) Na pociechę zwolenniczek mody (któremi wy pewno nie jesteście, szanowne czytelniczki nasze) możemy przytoczyć zdanie pewnego biskupa amerykańskiego, który jadąc na sobór do Rzymu, zaproszony został w Paryżu na wieczór przez pewną znakomitą damę.

Szanownej gospodyni wpadło dopiero za przybyciem sędziwego prałata na myśl, że może sprawić na nim niemiłe wrażenie widok samych wygorsowanych piękności. Pospieszyła więc naprzeciw niemu i przepraszała go za to, że może będą go razić zbyt świeckie kostiumy, jakie ujrzy w jej salonie.

Biskup uśmiechnął się, spojrzał dokoła po obnażonych pięknościach i rzekł: „Bądź pani spokojną o to; wszak wiesz, że przybywam z kraju, zamieszkanego przez dzikich ludzi.“

(Próbka etykiety dworskiej.) Król hiszpański Filip III., który panował od r. 1598 do 1621, siedział na krótki czas przed śmiercią w swoim gabinecie i pisał. Ponieważ był to dzień chłodny, postawiono w pokoju kociołek z węglami, ale tak blisko króla, że żar sprawiał na nim przykre wrażenie. Jego królewska Mość pocił się i doznawał niemiłego uczucia; ale etykieta nie pozwalała mu usunąć kociołka własną najmiłościwszą ręką, i musiał przeto znosić cierpliwie ten dokuczliwy upał. Gdy markiz Poba, który znajdował się w tym pokoju, spostrzegł, że żar węglany staje się niemiłym królowi, zwrócił na to uwagę księcia Alby, szambelana Jego królewskiej Mości, i prosił go, ażeby kazał usunąć kociołek. Ten jednak odrzekł, że to nie wchodzi w zakres jego urzędowania, i że trzeba udać się z tem do marszałka dworu, księcia Uzedy. Markizowi nie podobała się wielce ta ceremonialność, mimo to nie miał odwagi, uskutecznić to własną ręką, co podług etykiety dworskiej należało do kogo innego. Nieznośny żar pozostał na miejscu i posłano po księcia Usedę. Tego jednak na nieszczęście nie było w pałacu, i gdy uwiadomiono o tem markiza, udał on się powtórnie z prośbą do księcia Alby, ażeby kazał uprzątnąć węgle. Ten jednak pozostał niewzruszonym, i wyprawiono przeto drugiego posłańca do księcia Usedy, który wyjechał był na wieś. Gdy wreszcie tenże powrócił, uskarżał się już król na osłabienie. Następnej nocy pokazała się gwałtowna gorączka, z niej wywiązała się odra, a w kilka dni potem zakończył król życie. Ale etykieta pozostała nie naruszoną!

(Ciekawe napisy grobowe), Nie godzi się zakłócać pustym śmiechem świętej ciszy cmętarnej; ale któżby się wstrzymał od śmiechu, gdyby mu się zdarzyło czytać kiedy podobne napisy, jakie zebrał autor „Powieści cmentarnych“ (Adam Chodyński) na jednym z małomiejskich cmentarzy w Królestwie? Mieszczą one bowiem w sobie tyle śmieszności, tyle niedorzecznych konceptów, że mimowolnie nasuwa się pytanie: czy były pisane w dobrej wierze, czy też umyślnie dla wyszydzenia tych, których pamięci są poświęcone. Oto niektóre ich próbki:

„Tu leży Jaśnie Wielmożny Antoni . . . syn dziedzica G. . . . Żył lat dwa. Umarł 8. stycznia 1843.“

„Wiedzcie łzami od żalu skropione powieki,
Że tutaj Anna S. . . ka spoczywa na wieki.
Dla swojego męża dobrą zawsze była,
Bo się z nim nie kłóciła i nigdy nie biła.
Niechże za to króluje i w niebie dworuje.
Żyła lat 32, umarła 22. kwietnia 1839 r.“

„W tym grobie spoczywa kobieta uczciwa.
Miała z świata tego brata Ignacego,
A siostrę Agatę, wszystko nie bogate.
Któż resztę opowie? Daj im Boże zdrowie!
Prosi o westchnienie etc.“

„Tu leży panna Getruda Z. . . wzór niepokonanej i odważnej cnoty panieńskiej. — Żyła lat 83 i miesięcy 11; umarła i t. d.“

„Tu na wieczny odpoczynek złożono zwłoki Wnej. Ludwiki Ch. . ., która swym spadkobiercom pięć domów i

trzy kamienice zostawiła, nie doliczając gruntów. Niech jej będzie nagroda za życie i śmierć chwalebną. Żyła lat i t. d."

„Tu leży K... Faustyna,
A obok niej jest grób Marcina,
Jej męża miłego — wcale nie starego.
Tako się kochali w życia tego sprawy,
Jakby dwie turkawy.
On był mąż jej czwarty, a trzech co ich miała,
Gorzko płakała."

„Faustyna miała lat 62, a Marcin lat 21. Pomarli dnia 8. lipca 1852 na cholerę. Proszą i t. d."

„Tu leży pan Atanazy, ...ski,
Właściciel D... wioski.
Publiczność go kochała i wielce poważała,
Bo mu krzywdę komu zrobić, to nie było miło.
Sprzedawał zboże jak na targu było. — Prosi i td."

„Tu się przeniósł Rafał O..., który ślubował kawalerstwo na wieczne czasy. — Żył lat 70 i t. d."

„Hippolit N. . .
Ur. dnia 3. lutego 1801 r. † d. 15. października 1844.
Oby rymy moje
Oczyściły pamięć twoję!
Boś ty sierót nie odarł, jak ludzie mówili,
Oni cię tylko złym swym językiem zczernili.
Całej twojej wioseczki jest czyste nabycie,
Boś ty na nią pracował przez swe całe życie."

„Paweł R. Sędzia i t. d. Żył i t. d. Nie powstydzi się za swój urząd na sądzie ostatecznym, bo go nikt nie przekupywał i nigdy w czasie sądów nie zasypiał. O mądrości jego nie zamilczy rozgłośna trąba famy krajowej i t. d."

HUMORESKA.



Autor: Mam zaszczyt ofiarować szanownej redakcyi moje dzieło, i proszę o rozbiór.

Jeden z red: Panie łaskawy, jak pan widzisz, redakcya składa się z kilku członków; gdybyśmy więc chcieli pańskie dzieło rozebrać, potrzebywalibyśmy więcej egzemplarzy.

Rozwiązanie szarad w I. zeszycie: *I. Karmelita. II. Pokora.*

Poczta «Strzechy«.

Pannie *Wawrzynie B.* w Tarnowie:

Prawisz nam, piękna poetko, o chwale;
A wierz, my o niej nie myślimy wcale.
Naszem jest godłem tylko szczera praca,
A ta im lepsza — tém więcej popłaca;

Czy zaś z niéj jaki pożytek urasta —
Niech pyta starszych młodziutka niewiasta.
A gdy poetka kiedyś starszą będzie,
Sama to pozna, że jest dzisiaj w błędzie.

Pan *Kasprzykiewicz w Radomyślu* pośredniczy w dostarczaniu „Strzechy" i „Biblioteki Narodowej".

Wydawca i odpow. za redakcyę F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.